Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 14 listopada 1937 r. — Nr. 46

GASNĄCA JESIEŃ



Liście z drzew już obleciały,
smutek z bliskich pól zawionął —
a dziś w nocy szron już biały
gwiezdną bielą swą zapłonął...

Jesień polska już ucieka,
gdyż nadchodzi pani zima
i z programem swym nie zwleka —
bo premiera ma być prima...

Najpierw spadnie więc zasłona,
śniegiem białym i puszystym...
po tym biedna jesień skona...
pod całunem nieprzejrzystym —

A po wstępie tym galowym,
gdy zasłona się już wzniesie —
świat nam wyda się znów nowym
i swym czarem nas uniesie...

Więc czekamy, pani zimo,
czy obietnic swych dotrzymasz,
czy też zamiast wstępu primo...
mrozem wszystko popodcinasz.

Jan Feliks Płóciennik.

MARIA REUTT

12)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

Nie doniósł jednak wiatr wschodni, nie usłyszał ich ten, którego wołała, nie przyszedł — i Danka wracała, jak i przyjechała, z niczym...

— Pani droga — prosiła na odjezdnym staruszkę — jeżeliby on się tu jeszcze zjawił, niech go pani poprosi, by i mnie dał znak życia o sobie. Niech mu pani powie, że pragnę go zobaczyć — a sama, niech się pani dowie, jak się nazywa i gdzie pracuje.

* * *

W powrotnej drodze miała połączenie z pociągu do pociągu, więc nie zatrzymywała się w Warszawie. W Skierniewicach podczas postoju pociągu, wszedł do przedziału 3-ciej klasy, w którym jechała, hrabia Bugrow... Zdziwiła się — nie dowierzała trochę swoim oczom.

— Skąd pan wraca?

— Ze Lwowa, odwiedzałem znajomych, naszych sąsiadów w Rosji. Z synem ich kolegowałem w szkole i w wojsku.

— Nie był pan podczas świąt w domu? — zdziwiła się.

— Nie, koniecznie musiałem wyjechać i wyruszyłem jednocześnie z panią.

Biedna Ludka — pomyślała Danka, a głośno zapytała:

— A skąd pan wie, kiedy ja wyjechałam?

— Widziałem panią na dworcu w Warszawie... Wesoło się pani bawiła?

— Owszem — odparła — byłam u swoich najbliższych krwią i uczuciem, więc pobyt taki zawsze dobrze robi.

— Ma pan tutaj rodzinę? — zainteresował się. — Miałem wrażenie, że pani pochodzi z za kordonu.

— Nie, rodzinny mająteczek nasz został po tej stronie — objaśniła niechętnie.

Co go to obchodzi? — myślała.

Do wagonu wsiadło kilka osób różnego wyglądu i sfery.

— Niech pani przejdzie do pierwszej klasy, to nie miejsce dla pani...

Roześmiała się:

— Nie stać na aksamity i wyściełane siedzenia mnie, zwykłą proletariuszkę...

— Pojedzie pani ze mną.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie jeżdżę na cudzy koszt.

— Wobec tego dowidzenia. Bardzo żałuję, że nie przyjęła pani mego towarzystwa...

Zaśmiała się znów:

Towarzystwo przyjmuję, ale tutaj.

Spojrzał na twarze siedzących i roześmiał się:

— Tutaj nie mogę, za wielkie byłoby dla mnie ryzyko...

Wzruszyła ramionami.

— W takim razie musimy się rozstać.

Wyciągnął rękę. Podała mu swoją wąską dłoń.

— Śliczną ma pani rękę...

Zaróżowiła się niespodziewanie dla samej siebie na ten nagły komplement.

— Jest pani i zawsze dla mnie będzie najdroższą osobą na świecie — szepnął jej odchodząc.

Cofnęła rękę i znikło rozbawienie z jej twarzy, która przybrała wyniosły wyraz.

Jak on śmie! — oburzała się sama do siebie. — Bałamuci Ludkę, która mu wierzy i myśli, że i mnie głowę zawróci. Wstrętne Moskalisko!

Wyraz zaciętości nie opuścił już jej twarzy aż do stacji N.

Jeżeli dziewczynek nie będzie na stacji — postanowiła sobie, że wyjdzie z wagonu ostatnia w chwili ruszania pociągu, by się nie spotkać z tym niesympatycznym zarozumialcem.

Ale na stacji, opięte w ciepłe paltociki, czekały już bliźniaczki, wodząc oczami po przesuwających się wagonach.

Nareszcie pociąg stanął. Rzuciły się na powitanie kochanej nauczycielki, roztargnionym dygnięciem odpowiadając na ukłon hrabiego, który nie podszedł do nich, mijając.

— Wie pani — szczebiotała Józia, gdy tylko ruszyły z przed dworca — że hrabia nie był u nas podczas świąt, choć ciotka Ludka przyjechała tylko dla niego — zwierzała się swoim zwyczajem. — Ciotka popłakiwała całe święta, aż mama gniewała się na nią, a wuj Andrzej wzdychał tylko, patrząc na jej czerwone oczy.

Kocha go wciąż — zakłuło w serce Dankę. — To ma gust dopiero, żeby się kochać w takim wstrętnym lekkoduchu, nieuczciwym w dodatku i Moskalu. Co ona w nim widzi?

* * *

Na Trzech Króli Państwo Ciemierzewscy urządzili „wieczorek tańcujący", na który zaprosili całe sąsiedztwo.

W sobotę przyjechali sąsiedzi i znajomi z dalszych okolic, bo chcieli przed balem wypocząć.

Trzech Króli wypadało w poniedziałek, wieczorek miał się odbyć z niedzieli na poniedziałek, by każdy miał czas po zabawie dobrze wypocząć.

Hrabia przywiózł z warszawy Ludkę samochodem w niedzielę rano i obiecał być wieczorem.

Ludka znowu promieniała, że pamiętał o niej, że się troszczył. Przebaczyła mu zawód, jaki jej sprawił wyjeżdżając na święta i milczenie — pełna marzeń o przyszłym szczęściu, bogactwie, stanowisku...

Biła od niej łuna rumieńca, szczęście i radość.

Dziewczynki w białych wełnianych sukienkach i wielkich kokardach we włosach kręciły się jak frygi wśród gości, przejęte i podniecone.

Danka spokojna, zrównoważona, pomagała pani domu w przygotowaniach.

— Niech nam pani ładnie dziś wygląda — poprosił pan Ciemierzewski.

— Dla gospodarza, to taka miła przyjemność, gdy domownicy wyglądają odświętnie i wesoło podczas jakichkolwiek uroczystości.

Obiecała mu, że się postara.

Gdy muzyka zaczęła grać, poderwała się od kloszów z ciastami, w które układała arcydzieła sztuki kulinarnej, wynajętego na ten dzień i umyślnie sprowadzonego z Częstochowy kucharza i poszła się przebrać.

Ufryzowała swe złocisto - orzechowe włosy, przypudrowała twarz i narzuciła na siebie jedwabną sukienkę rdzawego koloru, którą z panią Wandą kupiła u Hersego.

Sukienka była skromna, ale gustowna i do twarzy.

— No cóż, ładna jestem? — zapytała dziewczynek, gdy przybiegły obejrzeć jej toaletę.

— Śliczna, ładniejsza nawet od cioci Ludki.

Ucałowała obywie na podziękowanie za komplement — bo mimo wszystko próżność pozostała, zachowała trochę wrażliwości na komplementy.

W salonie przy wejściu obstąpili ją panowie i ci, co ją znali, i ci, którzy ją widzieli po raz pierwszy. Lecz ona zbyła ich obojętnie i szła ku paniom. Tutaj witano ją z mnejszym oczywiście zachwytem, ale na ogół uprzejmie i grzecznie.

Andrzej już był i rozmawiał z Ludką — śliczną, powiewną, w jasnej, różowej, gazowej sukience. Gdy przechodziła obok nich, ujrzała, jak podniósł rękę dziewczyny do ust. Doznała lekkiego ucisku w piersiach, na co zareagowała jakby sama przed sobą wzruszeniem ramion...

Młodzież zaczyna tańczyć. Danka na razie odmówiła, choć zapraszało ją wielu tancerzy. Stanęła przy oknie i oparta o nie, obserwowała salę. Zauważyła, że Ludka drgnęła w ramionach tancerza, gdy na progu stanął hrabia. Oczy ich spotkały się i przemówiły pieszczotliwie: dla ciebie tu jestem.

Widziała, jak „czarowała" Andrzeja tańcząca z nim panna Lalka, dotykając prawie ustami jego twarzy, a mimo to dojrzał i zrozumiał mowę ócz hrabiego, bo zmarszczył brwi i w źrenicach zabłysła mu niechęć.

Osamotniona podpatrywała sekrety uczuć obecnych: szepty nieporuszających się prawie warg, porozumienia oczu, mowę splecionych rąk, przytulonych głów.

Poza plecami dobiegały ją słowa:

— Pik... dwa karo, trzy trefle... cztery karo...

— Gdzie pan ma swoje piki! Jak można tak licytować! Jakto, asa nawet pan nie ma?!

Przy następnym tangu nie dano jej stać bezczynnie.

Nie obejrzała się, gdy była już w kręgu tańczących, w objęciu Andrzeja.

Roztańczyła się. Szła po kolei z każdym, kto ją prosił.

— Nareszcie dotarłem do pani — kłaniał się przed nią, już dobrze po północy, hrabia.

Cofnęła się zaskoczona.

— Z panem?

— Boi się mnie pani? Taki straszny jestem? — żartował.

— Nie, cóż znowu — protestowała niepewnie.

Objął ją wpół i przycisnął mocno do siebie.

W pewnym momencie podniosła wzrok ku jego twarzy i szarpnęła się przejęta grozą.

W jej oczy patrzyły źrenice — Pietrowa, a usta uśmiechały się jego cynicznym, krwiożerczym uśmiechem.

— Poznałaś mnie nareszcie — zasyczał głosem, stłumionym przez podniecenie i namiętność.

— Niech mnie pan puści — wyjąkała w śmiertelnej trwodze.

— Nie tak od razu, gołąbko moja — dawno już nie tuliłem ja ciebie... — brzmiały tak strasznie znane jej od dawna słowa tamtego.

Szarpnęła się znów, lecz bezskutecznie.

— Nie uciekniesz ode mnie... Jutro musisz czekać na mnie o dziesiątej za parkiem tutejszym od strony lasu... A teraz milcz, jeśli ci życie miłe.

Głos jego brzmiał straszną groźbą.

Puścił ją nagle, brutalnie, aż się zatoczyła, więc, ująwszy ją pod ramię, wiódł do krzesła.

Na zaniepokojone spojrzenie Andrzeja, który podszedł do nich, hrabia odpowiedział swobodnie, dobrodusznie, z pobłażliwym uśmiechem na czerwonych wargach:

— Ot, widać dawno nie tańczyła i w głowie jej się zakręciło...

Posadził ją na krześle i sam odszedł, kierując się do Ludki, która stała w gronie młodych panien, flirtując z otaczającymi ich młodymi ludźmi.

— — — — — —

Danka siedziała na krześle, a jednocześnie wszystko w sali wirowało przed jej oczami i świat cały zdawał się kręcić wraz z nią.

Co ma zrobić? Zdemaskować tu na sali nikczemnika? Krzyknąć do wszystkich głośno — patrzcie, ten tam, to zbój, morderca, kat tysiąca ludzi! Chwytajcie go natychmiast, bo inaczej jutro wam zapali dach nad głową, a jeszcze dziś którą z was zamorduje tu na miejscu, jeżeli nie ulegnie jego chuciom!

Już wyrywa jej się z gardła krzyk...

Natychmiast jednak przyszła refleksja.

A co będzie, jeżeli on nie zmilknie — jeżeli na oskarżenie odpowie plugawym a przekręconym wyznaniem całej fałszywej prawdy o niej:



„Nie wierzcie jej! Ona kłamie, bo się chce na mnie zemścić! To prawda, że zmuszony okolicznościami, byłem przez jakiś czas w Bolszewii, maskowałem się, aby ujść śmierci — lecz ona tam była moją kochanką, ona stroiła się i bawiła, wreszcie ukradła książęce klejnoty, które były u mnie w przechowaniu i z nimi uciekła, aby tu udawać ofiarę!"

Położenie było bez wyjścia.

Nogi pod Danką drżały, choć siedziała na krześle. Żadnego wyjścia, znikąd ratunku przed wiszącą nad nią, jak wzniesiony do śmiertelnego ciosu miecz, groźbą Pietrowa.

Ten rój myśli i uczuć przewiał nad nią jak wicher — w przeciągu paru sekund zaledwie.

Nagle, leżąc myślą gdzieś na dnie rozpaczy, usłyszała, jakby gdzieś z góry, wróżący nadzieję ocalenia głos Andrzeja:

— Poznała go pani? — zapytał półgłosem Andrzej.

Kiwnęła głową, nie dziwiąc się zapytaniu. Chwyciła Andrzeja za rękę.

— Boję się, ach jak się boję... — szeptała jak nieprzytomna.

— Ma się pani z nim spotkać?

— Jutro rano...

— Gdzie?

— Pod lasem, za parkiem.

— Niech się pani uspokoi. Nic złego nie damy pani zrobić. Teraz najlepiej będzie, jeśli pani pójdzie spać.

— Boję się ciemności — skarżyła się jak dziecko.

— To niech pani zostanie w salonie, dopóki on nie odejdzie. Proszę zapanować nad sobą, by nie zwrócono na panią uwagi. Niech pani spróbuje zatańczyć ze mną.

— Kiedy nie mam siły wstać.

Dźwignął ją z krzesła mocnym ramieniem i poprowadził na salę.

— Jutro rano o ósmej przyjdę pomówić z panią. Niech pani czeka na mnie w salonie, wszyscy będą jeszcze na pewno spali.

Uspokoiła się trochę i opanowała na tyle, że nie odmówiła panu Malickiemu, gdy ją prosił do „black-bottoma"...

— — — — — —

Pietrow - „hrabia" nie długo bawił po zdemaskowaniu się przed nią. Przetańczył tango z Ludką i wysunął się z sali, nie spojrzawszy nawet na Dankę.

Około godziny 4-tej goście zaczęli się rozchodzić.

Danka rzuciła się w sukni na łóżko. — Serce jej biło strachem, a w uszach szumiało. Gdy znalazła się sama, opanowały ją dawne obawy — i znowu strach przed tym zwierzem.

W swym przerażeniu nie zdziwiła się, skąd i jakim sposobem znalazł się w Polsce i objął w posiadanie majątek hrabiów Bagrowcew.

...Nie ucieknie mu! Taki już widać jej los żyć w poniewierce! — Przypomniała sobie nagle szofera. — Gdyby tamten tu był, wyratowałby ją, obronił... Nie, stanowczo nie zgodzi się być w dalszym ciągu narzędziem i niewolnicą Pietrowa. Jeżeli nie uda się jej wyślizgnąć z jego mocy — powiesi się lub zastrzeli, a do niego nie wróci.

Nie mogła usnąć. Obracała się z boku na bok, suwała rozpalonym czołem po poduszce dla ochłody. Całe jej jestestwo drżało, dygotał każdy nerw.

Słyszała, jak w stołowym pokoju biła godzina piąta, szósta, siódma.

Poleżała jeszcze chwilę, próbując zdrzemnąć się, ale daremnie. — Wstała więc i drżąc z zimna i zmęczenia przebierała się.

Tusz zimny ożeźwił ją trochę. Otuliwszy się w szal, wyszła z pokoju.

Cisza panowała dookoła, wszyscy spali — i gospodarze i goście.

Przeszła na palcach przez jadalnię, gdzie na kanapie spał pan domu i skierowała się do kuchni.

Mała naftowa lampka słabo rozpraszała mrok. Dziewczęta kręciły się ospałe po izbie. Kucharka stała już przy kominie, na którym gotowało się śniadanie.

— Panienka już wstała? — zdziwiły się.

— Wstałam i przyszłam prosić Kasprową o szklankę gorącego mleka.

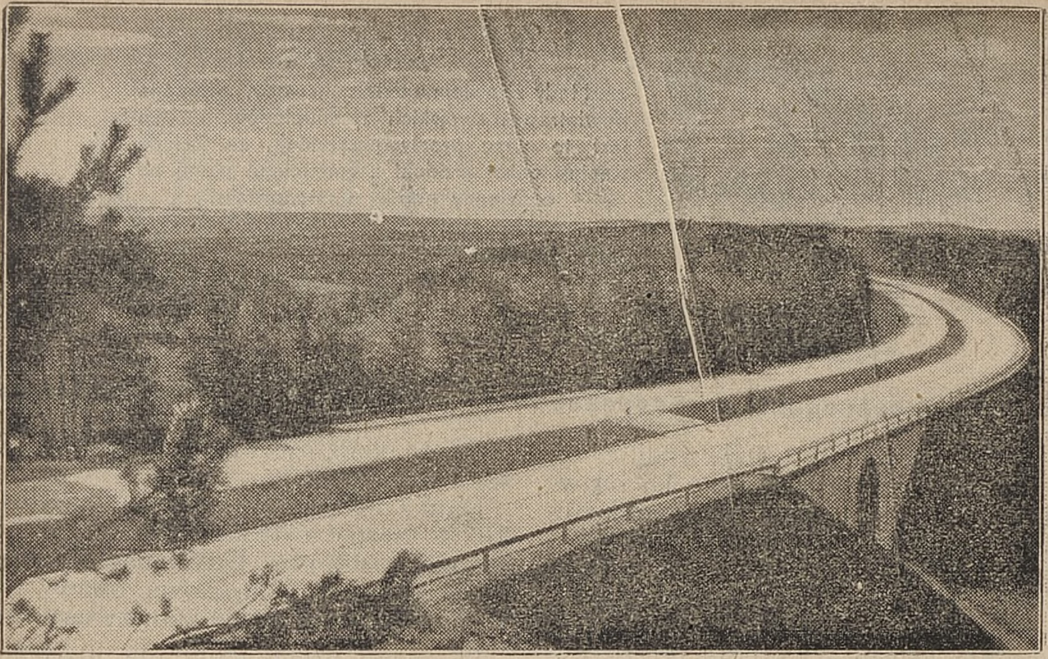
— Kiej dziedzic śpią w stołowym, to jak dostanę śklankę... — zatroskała się pokojówka.

— To dajcie mi w garnuszku.

Usiadła przy stole i piła wolnymi łykami gorące mleko.

Kasprowa oparła się obok niej o stół.

— Tomasz i Kuba jeszcze śpiom, bo do piątej zmywali naczynia i słali panom pościel w gabinecie, w kancelarii i w mleczarni... Jak wsta-



Oto jedna z nowych autostrad niemieckich, które oni w szybkim tempie budują, nie szczędząc pieniędzy.

łam, to jeszcze nie spali — objaśniała poufale cichym głosem.

Mleko przyprowadziło ją do równowagi.

Podziękowała kucharce, wróciła do siebie, przesuwając się na palcach przez korytarz i położyła się.

— Nie dam się — szeptała przez zaciśnięte zęby.

Wybiła ósma.

Do pokoju weszła pokojówka.

— Pan dziedzic z Obidówki przyjechał i czeka na panienkę w salonie.

Podniosła się z łóżka, otuliła szczelnie szalem i szła do salonu.

Na widok wchodzącej, Andrzej powstał i podniósł do ust wyciągniętą na powitanie rękę dziewczyny.

Podsunął jej fotel, a sam usiadł naprzeciw.

— Proszę czekać na Pietrowa przy samym parkanie, w miejscu, gdzie stoją trzy sosny.

— Pan go zna? — zdziwiła się.

— Aż nadto dobrze, to on zabił moją narzeczoną...

„Opierała się, to i zdusił ja to delikatne gardło" — zadźwięczało jej w uszach pijane mamlenie komisarza.

— Panno Danko, trzeba być mężną i spokojną. Tu nie tylko chodzi o panią, tu chodzi również i o sprawę ogólną... Trzeba, żeby się przyznał do oszustwa i fałszerstwa i żeby to jego przyznanie słyszeli policjant i żandarm, ukryci za parkanem...

— Boję się — przyznała się szczerze.

— Nie ma się pani czego obawiać, czuwać będziemy nad panią i ja i policja. Nie damy pani skrzywdzić.

Próbowała się uśmiechnąć.

— Spróbuję...

— Musi pani.

— Żeby pan wiedział, jak się czuję słabą i bezbronną...

— Powie mu pani, że wychodząc na spotkanie z nim, zostawiła pani pisemne zeznanie zaadresowane do mego brata, w którym objaśnia mu pani, z kim poszła zobaczyć się i w jakim celu...

Ścisnęła dłońmi skronie i oddychała ciężko.

Co miała właściwie odpowiedzieć? Rady Andrzeja były takie troskliwe, przezierała z nich taka dobroć serca... Lecz — jak ona mogła tę dobroć przyjmować, z jakiego tytułu? Dlaczego ma wplątywać tego dobrego i szlachetnego człowieka, który jednak dotąd nie zdradzał żadnego żywszego zainteresowania się nią, w krwawą i ponurą, a zawikłaną przygodę swojego życia?...

Jakby w odpowiedzi na te pytania, przelatujące jej przez głowę, przyszło coś, czego się zupełnie nie spodziewała. Andrzej, ująwszy ją za ręce, podniósł je do ust, po czym powiedział:

— Panno Danko, niech pani zostanie moją żoną...

Wpatrzyła się w niego, zupełnie nie rozumiejąc co mówi.

Powtórzył drugi raz głosem łagodnym, lecz stanowczym:

— Chcę, by pani została moją żoną...

Ocknęła się ze zdumienia.

— Ja, pańską żoną!...

Zaniosła się nagle histerycznym śmiechem. Objął ją w pół.

— Niech się pani uspokoi, obudzi pani domowników — rzekł trochę szorstko.

Opanowała się, choć zęby jej szczękały i próbowała wyswobodzić się z jego objęcia. Nie puścił jej jednak.

— Zgadza się pani na moją propozycję? — nalegał.

Rozpłakała się cichym, żałosnym płaczem.

— Nie mogę... Gdyby pan wiedział...

— Nic nie chcę wiedzieć ponadto, że musi pani zostać moją żoną, choćby dla własnego bezpieczeństwa, dla obronienia siebie przed pretensjami Pietrowa.

— Gdy się pan dowie, jaka znajomość mnie z nim łączyła — wyjąkała wśród łkań.

— Już pani mówiłem — przerwał jej trochę ostro — że teraz nie chcę nic wiedzieć o pani przeszłości. Chodzi mi tylko o to, by pani zgodziła się być moją żoną... Przeszłość należy wyłącznie do pani... Tak, czy nie?

— Tak — szepnęła wyczerpana, bez wolna.

— Niech pani pamięta, że ma pani we mnie już pewnego opiekuna i że Pietrow nie może pani dosięgnąć. A teraz muszę już uciekać, bo goście zaczną wstawać, więc zawadziłbym. Przyjadę o dwunastej. Na razie niech pani nikomu nie wspomina o naszych zaręczynach...

Kiwnęła mu głową na znak zgody.

Gdy wyszedł, podniosła się ociężale, w głowie czuła jeszcze większy zamęt, niż poprzednio.

...Na co i komu potrzebne są te nasze zaręczyny? Przecież on mnie nie kocha, nie wie nic o mnie... — myślała w dalszym ciągu, prześladowana dawnymi obawami i widmami, które nie chciały jej opuścić mimo uspokojeń Andrzeja.

Wróciła do siebie i znów położyła się na łóżku. Czuła się tak osłabioną, że nie mogła ustać. Leżała tak — na wpół drzemiąc — z godzinę.

We dworze zaczynał się ruch. Skrzypiały drzwi, słychać było tupot bosych nóg dziewcząt i dyskretny, przyciszony chód lokaja i lokajczyka, brzęk naczyń.

Pora już iść, spojrzała na zegarek — dochodziła dziesiąta.

Włożyła obcisły beret, śniegowce, otuliła się futrem i wyszła bocznymi drzwiami.

Szła grobową aleją wzdłuż ogrodzenia i przez sad wyszła na pole. Od tej strony zaczynał się wysoki, szczelny, drewniany parkan, ostro zakończony u góry. Doszła do trzech sosen, które stały niby siostry, przytulone do siebie, lecz samotne i odosobnione.

To tu — przypomniała sobie wskazówki Andrzeja. Obejrzała się na drogę — na śnieżnej płaszczyźnie zamajaczył cień.

— Jedzie — powiedziała głośno, choć nogi jej zadygotały.

Lekki szmer za parkanem dał jej znać, że jakaś żywa istota kryje się tam.

Cień zbliża się, przybiera kształty, wreszcie wynurzył się całkowicie z bieli i opalowej mgły.

Jechał stojąc, małymi sankami, zaprzężonymi w jednego konia i rozglądał się badawczo dokoła.

Zauważył ją i skierował się na pole. Zgrabnie zeskoczył z sanek, przywiązał konia do nich i zbliżył się do Danki z wyciągniętymi rękami. Nie czyniąc żadnego gestu w odpowiedzi, odezwała się natychmiast, przypomniawszy sobie instrukcje Andrzeja:

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

56)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Fełseg

Tym żywiej rozmawiała z nimi piękna Anuncjata.

Pytała się, skąd przybywają i dokąd jadą. Pragnęła wiedzieć, czy podróż tę odbywają dla przyjemności i czy są żonaci. Zadawała im jeszcze tysiączne pytania, a oczy jej iskrzyły się brylantowym blaskiem.

Eryk opowiedział, że nie jest żonatym, a to dlatego, że nie spotkał dotąd żadnej niewiasty, któraby choć w przybliżeniu była tak piękna jak Donna Anuncjata.

Piękna Meksykanka przyjęła ten komplement tak łaskawie, że Eryk ośmielony tym, zaczął do niej dalej smalić cholewki.

Sennor La Paz palił tymczasem milcząc papierosa, a Leon był myślą daleko przy swej żonie. Tęsknota za nią pożerała go.

Wtem weszła Mariquita i szepnęła coś do swej pani; ta zaś zwróciwszy się do swych gości, rzekła:

— Pokoje gościnne przygotowane, może panowie zechcą wypocząć i przebrać się. Mariquita poprowadzi panów. Czekamy na panów z kolacją!

Podróżni skłonili się i wyszli za Mariquitą, która ich poprowadziła przez długi korytarz, do pokoi gościnnych, leżących na samym końcu.

Otworzywszy drzwi zaprosiła ich ruchem ręki do wejścia, po czym odeszła.

Pokoje, do których Rauch i Waldau weszli, były nadzwyczaj skromnie umeblowane. Było w każdym z nich właściwie tylko jedno niskie łóżko, zaścielone materacem i przykryte wełnianym kocem. Prócz tego stała jeszcze tylko bardzo prymitywna umywalnia i kilka krzeseł. Nie było tu też bardzo czysto. Przeciwnie, po ścianach wisiała pajęczyna i kurzu było co niemiara.

Mariquita nie brała widocznie tego rozkazu uporządkowania pokoi gościnnych tak serio.



Gen. Franco w towarzystwie swojej żony (po lewej) podczas jednej ze swych przechadzek.

Obaj przyjaciele zabrali się do mycia i czyszczenia swych ubrań. Ledwie skończyli, usłyszeli pukanie do drzwi.

Był to służący, który żywymi gestami zapraszał, aby szli za nim.

Przeszli znów długi korytarz i wstąpili do ogromnej sali, urządzonej wprawdzie z wielkim przepychem, ale nie po europejsku.

Na pobielanych ścianach wisiały ordynarne bezwartościowe oleodruki w szerokich złoconych ramach. Szezlongi i otomany różnych kształtów i kolorów stały przy ścianach, wysunięte ku środkowi pokoju. Były one aksamitne, brokatowe i wełniane, czerwone, niebieskie, zielone i tureckie. Tak samo różnorodne były krzesła i taborety. Muzykalny hrabia Eryk odkrył tu też w jednym kącie fortepian i to prawdziwy „Steinway" z New-Yorku.

Sala była oświetlona. Pod świecznikiem na środku pokoju stał mały stół jadalny, nakryty na 4 osoby, ale znów inaczej jak w Europie.

Na środku stołu stał szampan w ceberku z lodem. Talerze, szklanki, widelce i noże stały i leżały porozrzucane w malowniczym nieporządku, a serwetek nie było wcale.

Obrus nakrywający stół był wprawdzie bardzo kosztowny, ale niemniej brudny.

Sennor La Paz siedział z córką już przy stole i powitał swoich gości bardzo uprzejmie. To samo uczyniła Donna Anuncjata, która usiadła między Erykiem a Leonem.

Wtem wszedł służący z metalową konwą, z której zaczął nalewać na talerze wonną zupę żółwiową. Po tym przyniósł na jeddnym półmisku dziczyznę, a na drugim ryż z jakimiś krajowymi przysmakami.

Anuncjata poprosiła uprzejmie, aby jedli.

Ojciec jej dawał dobry przykład. Skroił swoim nożem duży kawał sarniny, nałożył na talerz sporo potrawy ryżowej i zaczął smacznie zajadać.

Europejczycy poszli za jego przykładem i znaleźli potrawy wcale niezłe, mimo, że strasznie pieprzone i solone.

Jako trzecie danie wniesiono jakiś pieczony drób, a następnie cukrzone owoce, kremy, zaś legumina migdałowa zakończyła sutą biesiadę.

Donna Anuncjata, która mięsiwa prawie wcale nie tknęła, zaczęła dopiero dotrzymywać towarzystwa, gdy przyszły słodycze na stół. Popijała przy tym szampana, a hrabia Eryk bawił ją bez przerwy.

Gdy chwalił jej dobrą francuszczyznę, odpowiedziała z westchnieniem.

O, panie hrabio, dość mnie to kosztowało. Przez sześć lat miałam nieznośną starą guwernantkę na karku, która mnie niemiłosiernie męczyła. Ale na złość — Antoanecie, nie uczyłam się niczego, prócz tej odrobiny francuskiego. Za to grać na fortepianie wcale nie chciałam!

— Nie wierzę w to — odpowiedział Eryk — pewno pani świetnie gra! Proszę coś zagrać!

— Owszem — rzekła na to Anuncjata obojętnie — ale pożałuje pan! Ostrzegam pana, panie hrabio — dodała filuternie.

To rzekłszy, pobiegła do fortepianu i otworzywszy go, przysunęła sobie krzesło i zaczęła koncertować. Klawisze były wprawdzie pełne kurzu, ale to jej wcale nie raziło.

Odegrawszy jakąś francuską arię okropnie niezdolnie i fałszywie, zwróciła się do hrabiego z uśmiechem.

Eryk szukał daremnie kilku słów pochwały, któreby nie wyglądały na ironię, ale Anuncjata śmiała się tak, że mu do słowa przyjść nie dała.

— A teraz pan coś zagra, panie hrabio! — rzekła — zapraszając go do instrumentu.

Eryk przystąpił do fortepianu i zaczął preludem Chopina; potem zagrał jeden z najpiękniejszych walców tegoż samego kompozytora, a skończył jakąś niezmiernie melancholijną piosenką niemiecką. Grał po mistrzowsku.

W oczach Anuncjaty zabłysły łzy.

— Dziękuję panu — rzekła wreszcie — mogłabym tak słuchać bez końca.

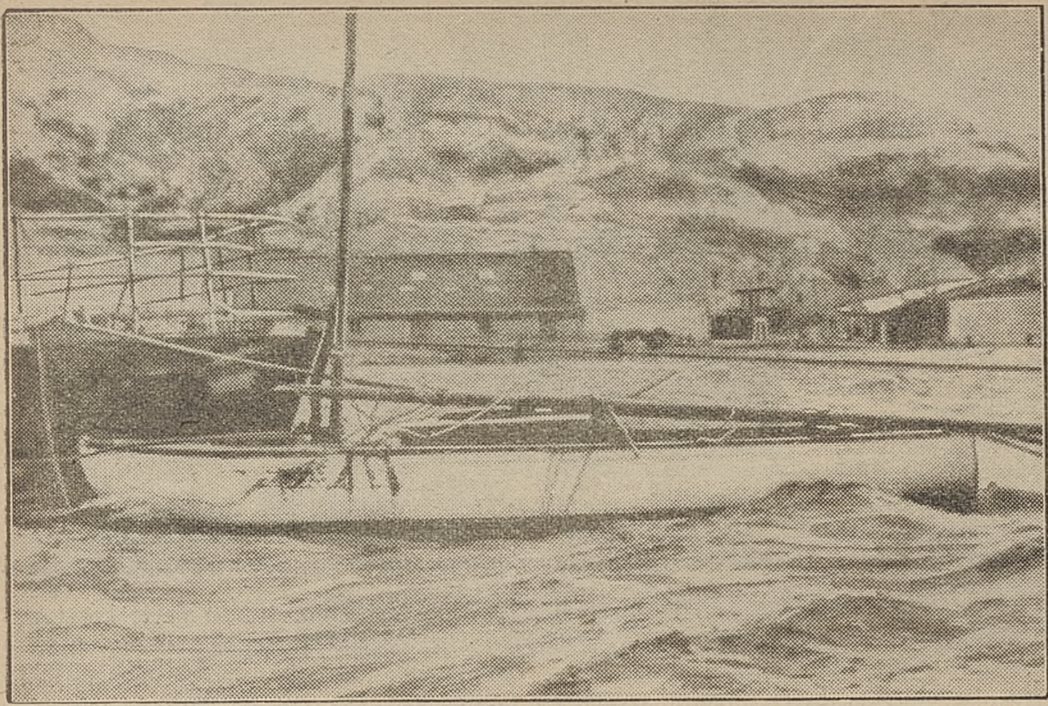
Żadne uznanie nigdy jeszcze Eryka tak nie uszczęśliwiło, jak pochwała tego dziecka natury. Zaczerwienił się jak żak i serce szybciej bić mu zaczęło.

Wzruszenie Anuncjaty nie trwało długo. Zapaliwszy nowy papieros zaczęła się znów śmiać i żartować, i poprosiła panów, aby za nią przeszli na werandę.

Tam panował przyjemny chłód. Księżyc w pełni oświecał jasno spokojny i piękny krajobraz, którym jednak tylko Leon się zachwycał. Eryk bowiem zajęty był całkiem rozmową i piękną Meksykanką, a stary sennor La Paz chrapał w najlepsze.

Nigdy nie zapomnę tego dnia — zapewniał Eryk piękną dziewczynę — a pani, czy wspomni kiedy o biednym podróżnym, który obraz pani wiecznie w swej duszy zachowa?

— Jakto? — zawołała Anuncjata przestraszona — to pan już myśli o odjeździe?



W tych dniach do portu w Marsylii zawinął okręt, ciągnąc za sobą żaglówkę, na której znajdowały się 4 osoby w stanie zupełnego wyczerpania. Jest to epilog niewyjaśnionej tragedii, która rozegrała się na morzu.

Czyż jestem taka brzydka i nudna, że pan tak prędko chce uciekać? Ależ to obrażające, panie hrabio! Nigdybym się tego po panu nie była spodziewała!

Tupnęła nogą o ziemię i łzy stanęły jej w oczach, a tak jej z tą złością było do twarzy, że Eryk nie mógł jej się dość napatrzeć.

Schlebiało mu to, że Anuncjata tak bardzo go pragnęła zatrzymać. Co więcej, czuł się tym uszczęśliwiony.

Tymczasem Donna Anuncjata zbudziła śpiącego swego ojca i zaczęła mu coś żywo opowiadać i o coś go prosić; po czym sennor La Paz jako serdeczny ojciec zwrócił się do swych gości i zaczął ich łamaną francuszczyzną, ale serdecznym tonem prosić, aby wizytę swoją przedłużyli przynajmniej jeszcze o kilka dni.

Odebrawszy od Eryka zapewnienie, że prośbie jego stanie się zadość, pożegnał się pan domu uprzejmie i wyszedł.

Anuncjata zadzwoniła na służącego, który zjawił się wkrótce ze świecą w ręku.

— Śpijcie dobrze, panowie! — rzekła Anuncjata uprzejmie — życzę wam przyjemnych snów.

Z tym życzeniem na ustach wybiegła z werandy.

Służący poświęcił gościom aż do ich pokojów i zapytawszy się, czy im niczego więcej nie potrzeba, skłonił się głęboko i odszedł.

Hrabia Eryk Rauch chodził rozdrażniony po pokoju Leona.

— Człowieku, jak ty się teraz możesz kłaść spać! — zapytał swego towarzysza oburzony, widząc, że ten się zaczyna rozbierać.

— Nie zapominaj, że jesteśmy po 10-cio godzinnej jeździe konnej — odpowiedział Leon spokojnie — czyż ty nie czujesz zmęczenia?

— Ja miałbym czuć zmęczenie? Ależ ja jestem w siódmym niebie Mahometa i nie czuję nic prócz marzycielskiego uwielbienia dla pięknej Anuncjaty! — zawołał Eryk w ekstazie. — Przyznaj, że ona jest ideałem piękności kobiecej!

— Czy masz na myśli Anuncjatę, czy Mariquitę? — zapytał Leon oschle.

— Co za pytanie? — oburzył się Rauch — kto patrzy na Mariquitę, jak widzi Anuncjatę?

— Mariquita jest pięknym stworzeniem — odpowiedział Leon z pozorną powagą, chcąc podrażnić przyjaciela.

— Także gust! — zaśmiał się Eryk. — Ależ Anuncjata jest słońcem, które zaćmiewa wszystkie inne gwiazdy!

Wstydź się Eryku! jak można się tak na pierwsze spojrzenie zakochać? — drwił sobie Leon.

— O, moje serce zostanie przy niej — na wieki! — zawołał Rauch patetycznie.

— Który to raz w tym roku ci się zdarza? — naciągał go Leon.

— Nie drwij sobie ze mnie! — zawołał hrabia Eryk energicznie. — To wszystko inne nie było miłością; teraz dopiero poznałem, co to jest prawdziwa namiętność! O, Anuncjata jest aniołem!

— Aniołem w obłokach papierosowych — drwił sobie Leon.

— Wypraszam sobie takie żarty — rzekł Eryk z powagą — albo Anuncjata zostanie hrabiną Rauch, albo żadna inna!

— Namyśl się dobrze — rzekł mu na to Leon, który tej sprawy zawsze jeszcze nie brał serio — czy chcesz zostać w tej — hacyendzie — i gospodarować wspólnie z papą La Paz, czy też masz zamiar zabrać Anuncjatę ze sobą do Berlina?

— Wzbudziłaby ona w salonach berlińskich ogólny podziw dla swojej piękności — odparł Eryk podrażniony.

A szczególnie przez wprawę w piciu szampana i paleniu papierosów, jak też przez swoją ignorację i niechlujstwo — dodał Leon poważnie.

— Et, jesteś nudnym pedantem! — ofuknął się Rauch.

Obrażony w imieniu swego ideału opuścił on pokój przyjaciela, nie życząc mu nawet dobrej nocy.

Leon słyszał go jeszcze chodzącego po sąsiednim pokoju i szeptającego jakieś urywane słowa i imię Anuncjaty.

Wkrótce jednak obaj przyjaciele zasnęli zdrowym snem szczęśliwej młodości.

Nazajutrz wydawała się Donna Anuncjata Erykowi jeszcze piękniejszą, niż dnia poprzedniego.

Miała na sobie czerwoną, jedwabną suknię, a na szyi sznur pereł.

Z gracją nalewała gościom swym zwyczajne w Meksyku śniadanie: wonną czekoladę.

Trochę później ukazał się Sennor La Paz.

Pełna jego twarz była jeszcze zaspana, a toaleta nie bardzo staranna, ale serdeczność, z którą gości swych przywitał, wynagradzała w zupełności te powierzchowne błędy.

Coraz gorętszą namiętnością pałał młody hrabia dla pięknej Meksykanki. Wszystko w niej go zachwycało; jej naturalność i nawet jej naiwność, z którą się go pytała, czy — Byron — jest to gatunek wina, i z którą się przyznawała do tego, że czytanie wydaje się straszną rzeczą. Zazdrościł on nawet jej psu pieszczot i pocałunków.

— Czy nie myśli pan, że przejażdżka konno byłaby teraz przyjemna? — zapytała go jego uwielbiana, wstając z krzesła.

Eryk ucieszył się tą propozycją.

Leon i Sennor La Paz dawno się już byli wynieśli niespostrzeżenie. La Paz wyjechał na plantację, aby dozorować robotników; Leon zaś przechadzał się zamyślony po ganku.

Był on bardzo przygnębiony myślą, że Eryk może tu ugrzęźnie. Nadzieja ugruntowania sobie egzystencji zapędziła go aż do Ameryki; tymczasem spostrzegł z żalem, że ani krokiem jeszcze do celu swego się nie zbliżył i że nadzieja połączenia się z ukochaną żoną znów jest zawieszona na nieograniczony czas.

Łamał sobie głowę, jakim sposobem przyjść do majątku, ale nadaremnie, nie znalazł odpowiedzi na tysiączne pytania, które sobie słusznie zadawał.

Eryk przeciwnie, w najlepszym był humorze.

Jadąc konno u boku Anuncjaty, napawał się jej pięknością i chwytał chciwie uchem srebrny jej głosik i śmiech. Zachwycał się jej gracją i pewnością, z którą siedziała na koniu, i nie raziło go nawet to, że ona nie przebrawszy się wskoczyła na siodło w swej czerwonej jedwabnej wyciętej sukni. Zarzuciła tylko na nią prochowiec i włożyła monstrualnie duży kapelusz z welonem. I owszem, wydawała mu się w tym jeszcze piękniejszą.

Gdy wyjechali na pagórek, z którego piękny roztaczał się wdok, Eryk przystanął i zaczął się zachwycać pięknością krajobrazu.

— O, co za szkoda, że nie jestem malarzem! — zawołał.

— Co w tym pięknego? — zapytała Meksykanka zdziwiona.

Pytanie to i zdziwienie podziałało na hrabiego trochę oziębiająco. Przez chwilę podziw jego dla Donny Anuncjaty bardzo ostygł.

Lecz trwało to chwilę tylko, ustępując miejsca szczeremu pożałowaniu.

Biedne dziecko! — myślał — trudno żądać od niej tego, czego jej otoczenie i wychowanie nie dało. Będzie to już moją rzeczą obudzić jej duszę i zainteresować ją

dla wszystkiego, co wielkie i piękne. To uzupełni harmonię naszych dusz!

Z dumania tego wyrwało go znów wesołe szczebiotanie Anuncjaty, której czarowi uległ ponownie.

Tak upłynęły przyjaciołom trzy dni w hacyendzie. — Leon robił sam piesze i konne wycieczki po okolicy; Eryk ciągle był w towarzystwie uroczej Meksykanki.

Tryb życia w hacyendzie był monotonny.

Sennor La Paz jadł, palił papierosy i odbywał codziennie krótką przejażdżkę konną po swoich plantacjach. Anuncjata rozmawiała i bawiła się bezustannie z Erykiem, paląc przy tym nieprzerwanie. Było to jej całe zajęcie, a jednym trudem była toaleta choć i przy tym nawet Mariquita jej pomagała. Nie czytywała, nie grała, nie zajmowała się gospodarstwem, które pozostawione było całkiem na łaskę i niełaskę służących. W mieszkaniu panował okropny nieład i nieporządek, jedzenie podawano niepunktualnie, ale to wszystko nie raziło Anuncjaty.

Podczas gdy Leon, porównując ją w duchu ze swoją żoną, widział błędy Anuncjaty jeszcze w jaskrawszym świetle, zachwyt Eryka nie miał granic.

Trzeciego dnia pobytu w hacyendzie — wszedł on wieczorem do pokoju Leona i rzekł stanowczym tonem:

— Jestem mocno zdecydowany ożenić się z nią!

— Ale rozważ wpierw, co robisz człowieku! — reflektował go Leon — pomyśl, że szczęście całego twego życia zależy od tej chwili! Miej więc głowę na karku!

Właśnie dlatego, że szczęście moje od tego zależy, nie zwlekam dłużej! — odpowiedział hrabia spokojnie — kocham Anuncjatę tak, że nie mógłbym żyć bez niej!

Zaczekaj jeszcze trochę i przekonaj się, czy ta miłość jest prawdziwa! — prosił go Leon — nie wiąż się na całe życie, nim się nie przekonasz, że wasze charaktery się zgadzają! Anuncjata wzrosła wśród innych warunków, niż my, Europejczycy; odebrała inne wychowanie, poglądy, zwyczaje niż my! Czy nie myślisz, że to we wspólnym pożyciu wielką gra rolę?

W ten sposób przedstawiał Leon swemu przyjacielowi całą tę sprawę, ale czynił to w sposób delikatny, wyrażając się o Anuncjacie bardzo oględnie, aby nie obrazić i nie dotknąć Eryka.

Ale hrabia nie dał się odwieść od swego zamiaru.

Jedyne co obiecał Leonowi po długim wahaniu, było przyrzeczenie, że nie ożeni się ze swę ukochaną nim jej dokładnie nie pozna.

Wreszcie rozeszli się przyjaciele. Eryk pełen miłosnego entuzjamu, Leon zaś pełen niepokoju i troski o los hrabiego Raucha, którego pragnął wyciągnąć z sideł zalotnej Meksykanki.

Nazajutrz rano, gdy Sennor Là Paz wyjechał jak zwykle na swoje plantacje, znikł i Leon i zostawił kochającą się parę sam na sam.

Udał się, jak zwyczajnie do gaju, po którym chodził zamyślony.

Po upływie pół godziny przyszedł za nim Eryk z Anuncjatą.

Twarz hrabiego jaśniała szczęściem, gdy idąc z nią, ręka w rękę, krzyknął Leonowi z daleka:



W takich zamaskowanych ziemiankach szuka ludność cywilna Szanghaju schronienia przed nalotem lotników japońskich.

— Powinszuj mi przyjacielu! Ona mnie kocha i chce zostać moją żoną!

Leon zbliżył się do nich, aby im pogratulować, ale uczynił to z większą rezerwą, niż to Erykowi przyjemnym było. Gdy jednak spostrzegł, jak była uszczęśliwiona Anuncjata, i jak widocznie zakochana w jego towarzyszu, udobruchał się trochę i przestał takim gniewem patrzeć na te dziwne zaręczyny.

Gdy Sennor La Paz wrócił do domu, powiedziała mu córka, o zaręczynach hrabiego, a on uśmiechnąwszy się błogo, dał swe milczące pozwolenie, nie zadając wiele niepotrzebnych pytań.

Szczęście Eryka było teraz kompletne, a jedynym cieniem była dla niego poważna, stroskana twarz Leona. Wziął go więc na bok, aby z nim serio pomówić.

— Kochany przyjacielu — mówił do niego — łatwo ci pojąć, że ja wobec tych stosunków nie myślę tak prędko hacyendę opuścić. Od ciebie zaś nie mogę żądać, abyś ty tu ze mną został i czas swój bezczynnie marnował, bo gdym cię do przejażdżki po Ameryce zachęcał, przedstawiałem ci tu życie i stosunki, w których byś mógł znaleźć szczęście. Nie chciałbym zawiązać ci drogi do tego ewentualnego szczęścia i dlatego proszę cię, nie krępuj się mną i jedź dokąd chcesz i jak daleko chcesz. Dam ci pieniędzy na drogę i czek do mego banku, skąd będziesz mógł tyle brać, ile będzie ci potrzeba.

Nie sprzeciwiaj mi się tylko, stary przyjacielu. Nie jest to żadna łaska, którą ci wyrządzam; jest to tylko i li tylko mój obowiązek, który spełniam.

Leon był pod tym względem innego zdania i nie przyjął całkowicie szlachetnej propozycji hrabiego Eryka Raucha. Po długiej debacie dopiero zgodził się przyjąć od przyjaciela pewną sumę tytułem pożyczki. Chciał też dalszą drogę sam odbyć bez przewodników, których zatem oddalono, zapłaciwszy wprzód, co im się należało.

Na drugi dzień wybrał się Leon w dalszą podróż. Był dostatecznie zaopatrzony w amunicję i prowiant, a pieniądze miał dobrze ukryte w spodnim ubraniu.

Wyjeżdżał szukać szczęścia i wyjeżdżał z pewną ufnością w los, ale bez wszelkich iluzyj.

Eryk został w harcyendzie przy swej narzeczonej, zadowolony i szczęśliwy.

ROZDZIAŁ CCXVII

Po deszczu następuje pogoda

Promienie słoneczne, wkradające się przez okno do izdebki Teresy Börner nie padały jak zwykle na kwitnące kwiaty i klatkę z świergocącym wesoło ptaszkiem.

Pokój ten wydawał się dziś niezwykle pustym, bo przy oknie próżne było miejsce Teresy, na którym siedząc, zwykle szyła i ubierała słomiane kapelusze.

Nie, nie było jej na zwykłym miejscu, gdyż leżała chora w łóżku. Policzki jej pałały gorączką, usta wymawiały słowa bez związku, a wychudłe ręce poruszyły się nerwowo na kołdrze.

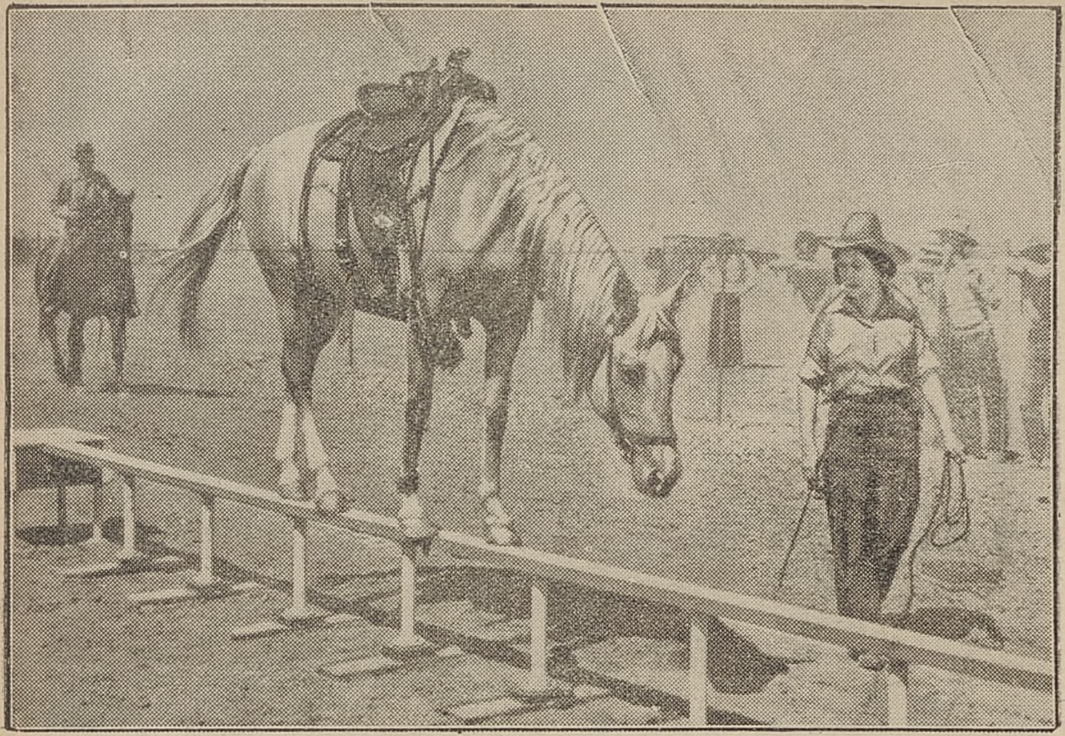
Niezmożona ta pracowniczka używała niedobrowolnego wypoczynku. Zmuszona pracować teraz na dwie osoby, wytężała się zanadto w ostatnich tygodniach i to się na niej zemściło; do tego przyłączyło się jeszcze silne przeziębienie i zupełnie ją z nóg powaliło.

Obok jej łóżka siedziała Anastazja i szyła coś bardzo pilnie.

I ona była zmieniona. Stroskana jej twarz miała teraz łagodny wyraz, którego dawniej nie było. Od czasu do czasu spoglądała troskliwie na chorą, poprawiała jej poduszki i dawała jej punktualnie przepisane lekarstwo.

Nie była to więcej ta egoistyczna Anastazja, która zawsze tylko myślała o sobie. Miłość i ofiarność, której ją biedna jej krewna nauczyła, znalazły wkrótce echo i w jej sercu. Była odtąd Teresie szczerze oddana.

Teresa Börner robiła wszystko, co było w jej mocy, aby krewnej swej pobyt w szczupłym i biednym swym domostwie



Na dożynkach w Kalifornii córka jednego z hodowców koni pokazała doskonałą tresurę swego ulubionego wierzchowca.

jak najbardziej uprzyjemnić i znośnym uczynić. Starała się ją rozweselić, sprawiała jej małe niespodzianki i otaczała zawsze równomierną miłością i troskliwością.

Dobroć i miłość Teresy wpłynęły kojąco na chory umysł Anastazji. Niestety, szczęśliwy ten czas, aż nadto był krótki. Pani Börner zachorowała poważnie i nie mogła dalej pracować na utrzymanie swoje i swego gościa.

Teraz przyszła kolej na Anastazję. Starała się ona rzetelnie odwdzięczyć Teresie za doznane dobrodziejstwa. Pielęgnowała chorą starannie, zajmowała się gospodarstwem, a przy tym robiła ręczne robótki i szyła, aby zarobić trochę pieniędzy na wydatki domowe i lekarstwa dla Teresy.

Nie zdołała jednak zarobić tyle, ile trzeba było na to wszystko i skoro tylko małe oszczędności się wyczerpały, zaczęła się wielka bieda i niedostatek.

W chwilach przytomnych patrzyła pani Börner stroskana na wymęczoną twarz Anastazji i prosiła ją, aby sprzedawała mniej potrzebne sprzęty na pokrycie bieżących wydatków, przy czym pocieszała ją jeszcze, że to się wszystko w lepszych czasach odkupi.

Tak więc poszły kolejno najpierw piękne kwiaty, potem kanarek z klatką, a wreszcie przy wzmagającej się nędzy szły i większe sprzęty na sprzedaż, aby pokryć wydatki na lekarstwa i na chleb.

Sąsiedzi Teresy, sami biedni ludzie, przysłużyli jej się, ile tylko mogli. Jest to starą prawdą, że ci, co sami nędzy i biedy doznali, najlepiej ją odczuć umieją i najprędzej tejże z pomocą spieszą.

Toteż biedni ci ludzie odmawiali sobie, co tylko mogli, aby z małych swych oszczędności móc przysporzyć Teresie małe wygody. Był to rewanż za tysiączne przysługi, które im pani Börner w lepszych czasach wyświadczyła i za dobroć, którą ich darzyła.

Gdy chora poruszyła się niespokojnie na łóżku, Anastazja pochyliła się nad nią i przyłożyła zimną swą rękę do jej gorącej skroni. Sprawiło to Teresie widoczną ulgę, gdyż odetchnęła lżej i uspokoiła się.

Wtedy zabrała się Anastazja na nowo do swej pracy, gdyż musiała ukończyć dziś jeszcze robotę, aby dostać znów parę groszy.

Pukanie do drzwi przerwało jej pracę.

Była to sąsiadka, zmizerowana i spracowana kobiecina, która przyszła się dowiedzieć, jak się pani Börner czuje.

— Jeszcze zawsze nie lepiej — skarżyła się Anastazja — kto wie, co będzie!

— Niech pani będzie spokojna — pocieszała ją sąsiadka — moja matka była tak samo chora; biedaczka umarła wprawdzie, ale pani Börner może wyzdrowieć!

Pocieszenie to źle było dobrane, i nie bardzo ulżyło sercu zasmuconej Anastazji, która otarłszy prędko cisnące jej się do oczu łzy, zaczęła znów pilnie pracować.

— Czy ta robota ma być jeszcze dziś oddana? — pytała sąsiadka dobrotliwie — przysłać pani może moją dziewczynę, aby tymczasem siedziała przy chorej?

— Bardzobym się cieszyła — odparła Anastazja — za pół godziny będę gotowa, może by córeczka pani wtedy przyjść mogła!

— Dobrze, dobrze — odrzekła kobiecina — przyjdzie ona tu z książką, bo się musi uczyć na jutro!

Z życzeniem polepszenia, postąpiła kilka kroków w kierunku drzwi, ale od progu wróciła raz jeszcze i wyjmując z kieszeni mały, w gazetę zawinięty pakuneczek, położyła go nieśmiele na stole.

— To tylko kilka pomarańcz — rzekła jakby na uniewinnienie — może się Teresie przydadzą, gdy będzie spragniona.

— Bóg zapłać, pani May — rzekła wzruszona Anastazja — myślałam właśnie nad tym, że trzeba było pomarańcz kilka, ale nie miałam pieniędzy, by kupić.

— Nie ma o czym mówić — odrzekła pani May — przyślę więc Pepkę za pół godziny.

To rzekłszy skinęła poważnie głową i wysunęła się cicho z izdebki.

Anastazja szyła z pospiechem, patrząc często na chorą.

Teresa spała spokojnie a policzki jej były o wiele bledsze.

Dałby Bóg, aby wyzdrowiała! — pomyślała Anastazja, modląc się gorąco za życie i zdrowie swej krewnej.

Skończywszy robotę, odłożyła ją i wyjąwszy z papieru jedną pomarańcz, obrała ją dla chorej i położyła na stoliku przy łóżku.

Gdy Pepka nie nadchodziła, wzięła Anastazja mechanicznie do rąk gazetę, w której owoce były zawinięte. Wtem oczy jej spoczęły na znanym jej dobrze nazwisku baronowej Wimpfen.

Zaciekawiona przeczytała uważnie cały anons:

Poszukuję niewiasty w średnim wieku, wyznania rzymsko - katolickiego, o dobrej reputacji, która by potrafiła prowadzić gospodarstwo i opiekować się dziatwą w prywatnym domu dla sierot. Osobiste zgłoszenia przyjmuję we wtorek, środę i czwartek od godziny 9 rano do 8 wieczorem w hotelu Imperial.

Baronowa Lola Wimpfen.

Przeczytawszy to Anastazja, opuściła z rąk gazetę i zamyśliła się.

Co za zmiana musiała zajść z baronową — mruknęła — kiedy się wzięła do dobroczynności.

Po chwili zerwała się jakby z jakąś decyzją. Postanowiła rzeczywiście pójść do baronowej, upokorzyć się przed nią i poprosić ją o wsparcie dla biednej Teresy.

Może nędza jej wzruszy baronową — pomyślała.

Nareszcie nadeszła Pepka, słuszna, może 13-letnia dziewczyna.

— Proszę mi wybaczyć, żem się spóźniła — uniewinniła się dziewczyna — ale zasiedziałam się tak przy zadaniu, bo nauczyciel zawsze krzyczy jak się nie pisze starannie.

— Nic nie szkodzi — rzekła Anastazja — usiądź tu, a jak pani Börner się zbudzi i będzie spragniona, to jej dasz kilka kawałków pomarańczy. Gdyby zaś chciała wody, to przynieś jej świeżej z wodociągu. Nie zostawiaj tylko drzwi otwartych, gdy wyjdziesz do sieni, aby się chora nie przeziębiła!

— Niech się panna Anastazja nie obawia — poważnie rzekła Pepka i usiadłszy przy łóżku, zaczęła półgłosem czytać katechizm.

Anastazja, wyszedłszy, pobiegła prędko do hotelu Imperial, dręcząc się po drodze różnymi wątpliwościami, co do tego czy baronową jeszcze zastanie i jak ona ją przyjmie.

Wchodząc, zapytała okazałego portiera hotelowego nieśmiało, czy pani baronowa Wimpfen jeszcze tu mieszka i gdzie są jej pokoje.

— Tak, pani baronowa jest jeszcze tu i zajmuje pokój 12-ty i 13-ty na pierwszym piętrze.

Pod Anastazją uginały się kolana, gdy wchodziła po schodach, a gdy stanęła przed numerem 12-tym serce zaczęło bić jej gwałtownie.

Wreszcie opanowała się.

(Ciąg dalszy na str. 917)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

LISTONOSZ

Ulica w małym miasteczku.
Domki wycięte z kart...
wiatr plotkuje bezsensowo
z ulicą —
Prawdę dnia...
zamienia w błahy żart...

Naprzeciwko szarej kamienicy,
poprzez okno —
wychyla się stróż.
Wiatr się śmieje z jego bladej twarzy...
Ktoś wszedł w bramę —
z wieńcem...
papierowych róż...

Wiatr roześmiał się świergotem wróbli...
zerwał różę:
blady uśmiech dnia...
Kogo też to stróż wypatruje?
taki stary,
a jak dziecko łka...

Ciężkie kroki...
Postać przygarbiona.
Pan listowy...
— ciszej wróble... pst...
„Czy tu mieszka —?"
„Jest coś dla mnie —?"
„List do pana..."
— Z wąską, czarną obwódką... mały list...

Ach, to tak...?
— wiatr zdziwiony zaszeptał...
ach, to jego spotkał ten los...
Stróż w swym oknie list odczytywał —
„A więc zmarła...?
Wiatr się w drzewach rozpłakał w głos...

Józef Baranowski.

W ODPOWIEDZI NA BEZNADZIEJNIE SMUTNY LIST

„Nelli". Moja Droga Dziewczynko! Jak beznadziejnie smutno brzmią te Twoje zdania: ...„może nigdy słońce jaśniej dla mnie nie zaświeci i zawsze już będzie wokoło mnie próżnia. Może już nigdy nie dopłynę do cichej przystani? Droga życia mego jest usłana cierniami i tylko goryczą i zawody były mi udziałem. Szczęście, choć było blisko — odeszło ode mnie bezpowrotnie..."

O, „Nelli", jak mi przykro, że tak myślisz! Czyż nie stać Cię, Kochanie, na inne podejście do życia? Właśnie Ciebie — człowieka inteligentnego i myślącego? Wierz mi, że można mieć smutną duszę, ale równocześnie i wiarę, że kiedyś przyjdzie coś, co zatuszuje smutek i wynagrodzi zawód. Nie zawsze przecież jest w życiu źle i nie jeden tylko człowiek cierpi. Życie wszak składa się z łez i uśmiechów! Czy chciałabyś zresztą, „Nelli", mieć życie tylko pogodne, a nigdy zabarwione czymś innym, czymś, co duszę wstrząsa i przepala silnym uczuciem bólu? Prawda, że nie?! Czyż więc godzi się myśleć tak beznadziejnie smutno? Powiedz! Ciekawa jestem, co mi na ten temat napiszesz, bardzo jestem ciekawa! Przyjm ode mnie dużo pozdrowień!

(Z listu „Nelli" dla Sympatyków:)

„Wszystkich, którzy piszą w „Krainie" piękne wiersze, serdecznie pozdrawiam, oraz proszę o poświęcenie mi jakiegoś wiersza. A może ktoś z „Krainy" prześle mi liścik? Sprawi mi naprawdę dużą radość!

Bardzo milutkie pozdrowienia zasyłam: „Smutnej Ślązaczce", „Maleńkiej Dzidzi", „Córce Wichru", „Nell z Bydgoszczy", „Wirrytowi", „Romantycznemu Śpiewakowi" i „Zrównoważonemu Jasiowi".

„Dzinko", odezwij się kiedyś. Przyjm dużo pozdrowień"!

(Pierwszego komunikatu nie zamieściłam, gdyż jest podany nieczytelnie pseudonim!)

CZEKAJ CIERPLIWIE...

„Ciemnooka Irka". „Iruś", bardzo mi przykro, że cierpisz i to z powodu tego, którego ukochałaś nad wszystko w świecie. Może jednak sprawy ułożą się dobrze i Ty zwyciężysz. Czekaj, cierpliwie i pozostań nadal taką, jak dotychczas. Pamiętaj, kobieta musi być zawsze uczciwa i posiadać pewną dumę, aby w pełni zasługiwała na szacunek i miłość człowieka kochanego...

Pozdrawiam Cię jak najserdeczniej i z całą przyjemnością udzielam Ci na zakończenie głosu:

„Złoteńko", „Mi", „Marzenko", „Pollux'ie", „Brazylianinie" i „Kastorze" — moc pozdrowień!

„Marzenko", prześlij mi choć kilka słów z zagranicy!

„Bogdo", życzę Ci wielkiego powodzenia w „Krainie".

Serdecznie ściskam dłoń „Zrównoważonemu Jasiowi" i... kiedy znów odbiorę liścik? Znam już Pana incognito!

„Irce — Wielkopolance", „Ninie — Poznaniance", „Stepowemu Płomieniowi", „Dor - On'owi" i „Te - Em'owi" — miłe uśmiechy.

„Przedwiośniu" dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Jeżeli list mój sprawi Pani przyjemność, to chętnie napiszę".



„Te-Em" kiedyś przedstawił się nam w karykaturze, a dziś widzimy jego naturalną podobiznę.

NIESPODZIANEK TAK MAŁO W ŻYCIU...

„Don Juan". Oczywiście, wierzę w te dobre intencje Pana przy wyborze pseudonimu, ale, jeżeli chmurka nazywa się chmurką, to trudno powiedzieć o niej, że to słońce. Wszak prawda?

Nie chcę pisać nic specjalnego o Panu, nadmienię tylko, że ten kto jeszcze nie napisał do „Don Juana", niech napisze do Niego, a spotka go niezwykle miła niespodzianka. Niespodzianek tak mało w życiu, a więc pewna jestem, że listy dla „Don Juana" posypią się, jak z rogu obfitości.

Uwaga, „Heleno J.", jeżeli ma Pani ochotę podyskutować na tematy społeczno - polityczne, może Pani z całym zaufaniem napisać do „Don Juana". Tak samo „Renia z Kolna", „Waldy", „Istar" i „Hestia".

Aha! „Don Juan" ciekawy jest kim jest p. Zofia? Może kiedyś wpadnie do redakcji przekonać się o tym, skoro mieszka w Ż.?

„SMUTNA ŚLĄZACZKO", NAPISZ DO MNIE...

„Anetka III." Imponujesz mi coraz więcej — Kochana Dziewczynko, swoim trzeźwym nastawieniem na życie i ludzi i ujmujesz tą serdecznością, z jaką do mnie podchodzisz. Dziękuję Ci za wszystko! I za tę szczerą pamięć i za to zainteresowanie — ogromnie miłe i wzruszające!

Bardzo się cieszę na zapowiedziany rysunek. Zapewniam Cię, Kochanie, że będzie on stanowił dla mnie drogą pamiątkę. Inicjał imienia, o które Ci chodzi, brzmi: M.

A teraz, ponieważ w „Krainie" jeszcze mało o Tobie wiemy, „Anetko", przedrukowuję część Twego długiego listu:

„Mam lat 23. Jestem szczupłą blondynką o szarych dużych oczach, czarnych brwiach (niemalowanych!) i rzęsach. Podobno jestem ładną i zgrabną.

Może ktoś smutny i osamotniony nabierze zaufania i napisze do mnie? Chciałabym swoimi listami odstraszać te wszystkie czarne i złe ptaki w postaci smutku, rozpaczy i zniechęcenia.

„Smutna Ślązaczko"! Dla czego Pani tak beznadziejnie patrzy na świat? Proszę do mnie napisać, a nauczę Panią uśmiechać się do życia"

DO REPRODUKCJI TRZEBA NADSYŁAĆ FOTOGRAFIE NA BŁYSZCZĄCYM PAPIERZE

„Dor — On". Nadesłane zdjęcie jest rzeczywiście miłe, ale absolutnie nie nadaje się do reprodukcji. Na ten cel trzeba nadsyłać fotografie wykonane na błyszczącym papierze, inaczej odbitki będą niewyraźne.

Jakże mi miło, że odnosi się Pan do mnie z taką, wprost synowską miłością i zaufaniem! Tak pragnęłabym za to przysporzyć Panu jakichś przyjemności!...

A może zdołam?... Pierwszą, zdaję się, będzie zamieszczenie wierszyka, przeznaczonego przez Pana dla P. Zosieńki spod Sompolna. Oto on:

MYŚLĘ O TOBIE...

Myślę o Tobie, gdy gwiazdy swe oczy
Gdzieś wypatrują w ciemnej przestrzeni,
Myślę o Tobie, gdy świt roztoczy
Swe opalowe światła na ziemi.
I wtedy myślę, gdy północ głucha,
Do mego okna cicho kołacze
I nawet wtedy, gdy zawierucha,
Za oknem w czasie jesiennym płacze...

BARDZO PROSZĘ!

„Wicha" i *„Scholastyka"*. Śliczne uśmiechy miłych Dziewcząt — otrzymałam i odwdzięczam się za nie również uśmiechem. Czy nie zechciałyby kiedyś, Kochane Dziewczynki, wpaść na chwilę do redakcji? Bardzo proszę!

Kilka słów, przeznaczonych dla Sympatyków, przedrukowuję:

„Halo! „Rozśpiewana Izabello", czy Pani jest Irką *M.* z Cz....a? Chciałabym z Panią nawiązać korespondencję, czy zgoda? Zasyłam również pozdrowienia dla Pani koleżanek — Wali i Iry W.

„Scholastyka", bardzo miła i wesoła dziewczynka, chciałaby otrzymać dużo, dużo liścików. Czy ktoś spełni Jej życzenie?"

PROSZĘ O ADRES

„Japonka". Cieszy mnie, że podobają się Pani „Moje Powieści" i że jesteś taką gorącą entuzjastką „Krainy" — przyjmuję Cię też do naszego grona z życzeniem, abyś czuła się w nim jak najmilej!

Masz nadzieję, że może się ktoś taki znajdzie, który napisze do Ciebie serdeczny list? Ja ją mam również, zwłaszcza, że jesteś podobno ogromnie miłą i ładną brunetką o oczach ciemno piwnych?

No, pozdrawiam Panią i zamieszczam Jej komunikaty:

„Wesoła Kaszubko", mieszkam niedaleko Pelplina — może zechcesz skreślić do mnie kilka słów? Czy jeździłaś zeszłego roku z pielgrzymką do Częstochowy?

„Baronie Cygański" — czy my się przypadkiem nie znamy? Ślę Panu dużo pozdrowień.

„S. 13", „Samotnemu Mieszkańcowi" i „Zrównoważonemu Jasiowi" ślę wesołe „pa"! i proszę o listy".

Ja natomiast proszę Panią, „Japonko", o podanie swego dokładnego adresu, inaczej listów nie będziesz mogła otrzymywać.

BARDZO JESTEM ZADOWOLONA...

„Puer“. Ludzie? — och, jacy są różni!... Dlatego nie powinien Pan się dziwić, że zdanie Pańskiego przyjaciela o „Krainie“ jest inne, niż Pana. Ile ludzi, tyle pojęć — to fakt, mający w życiu zastosowanie chyba od początku świata.

Bardzo jestem zadowolona, że tak bardzo podobają się Panu wiersze, wymienione w liście.

Proszę, niech Pan pisze do mnie częściej. O tym, co myśli Pan, co robi, czyta i czym się interesuje. Jestem pewna, że to mnie ogromnie zafrapuje i natchnie później do ciekawszej odpowiedzi, niż jest dzisiejsza.

JESIEŃ

Zardzewiały wszystkie drzewa,
Zżółkły, spadły wszystkie liście.
Mgła rozlała się srebrzyście...
Chochoł — zamiast róży krzewu...
Patrzą oczy astrów krasne
W ołowiane ciężkie chmury,
Deszczu mętne, brudne sznury
Wiążą dalij pstre bukiety
I jesieni farb palety
Mącą błękit nieba jasny...

Z. Klepacka.

UMIEŚCIŁAM

„Orion“. „Wiele razy czytałem „Moje Powieści“ i „Dobre rady p. Zofii“ z dalekiego Żnina, co kieruje korespondencją „Krainy szczerości“.

Dopiero teraz odważyłem się napisać do „Krainy“ pod wpływem wiersza pod tytułem „Łzy“ — „Wieszczki kwiatów“.

Bardzo bym prosił Panią Zosię o przyjęcie mnie do „Krainy“, i adres „Wieszczki kwiatów“, o ile ona nie ma nic przeciwko temu. Mam wrażenie, że to może być „bratnia dusza“, więc załączam wiersz „Bratnie dusze“, dla „Wieszczki“ — nieudolny wprawdzie, ale w „Krainie“ zdaje się, że wszyscy rymują swe marzenia, więc ja też, o tyle, o ile mnie stać na to.

Dobrze by było, gdyby ta „Kraina szczerości“ nosiła nazwę „Krainy marzeń“, bo każdy z „Krainiaków“ jest w dużej mierze marzycielem.

Kończę i zasyłam wyrazy uznania dla Pani Zosi, oraz pozdrowienia dla wszystkich „Krainiaków“, a szczególnie dla „Dusi“ i „Steni spod Grudziądza“, bo sam jestem z Grudziądza, lecz mieszkam pod Lwowem“.

Umieszczam Pana list, aby „Krainiacy“ wiedzieli, jak do nich podchodzisz. Wierszyk, o którym mowa skierowałam do „Teczki Wujka Janusza“ — wyda on ocenę i ewentualnie sklasyfikuje do druku.

Życzę Panu powodzenia w korespondencji i czekam na następny list.

W NAGRODĘ

„Zuch — Dziewczyna“. Najdroższa Moja Dziewczynko — piszesz mi w jednym z tych kilku listów, które mam w tej chwili przed sobą na biurku, że nie wiesz, czym odpłacić mi za dobroć i zaraz nadmieniasz, że chyba sercem.

Dziecko Drogie! Niczym więcej i głębiej nie możesz wynagrodzić życzliwej Ci osoby, jak uznaniem i zrozumieniem tej życzliwości.

A tak jest! Ba! ja z kolei winnam Ci być wdzięczna za przywiązanie, za uczucia najserdeczniejsze, którymi mnie obdarzasz. Przyprawiasz mnie o stałe wzruszenie — doprawdy! Uśmiałam się z opisu Twych perypetyj z W. Myślę, że kiedyś nastąpi szczęśliwe i równie wesołe rozwiązanie tej kwestii.

Wszystkie Twoje zdjęcia mam w albumie redakcyjnym i możesz być pewną, że wysoko je sobie cenię.

Napisz mi już szybko taki ogromnie długi i kochany list, jak wszystkie i jak zawsze. Wiesz przecież dobrze, że bardzo, bardzo chętnie na nie odpowiadam, jakkolwiek nieczęsto — muszę przestrzegać kolejności.

Bądź, proszę, uprzejmą podziękować kuzynce Hejce, Andzi i Jerzykowi za miłe mi słowa pozdrowień i pozdrowić ich wzajemnie.

Jeszcze jedno, jak mi będziesz wciąż sumitować się z powodu rzekomo nieudolnych Twoich listów, to dam do druku któryś i niech „Krainiacy“ osądzą, kto ma rację. Ty, czy ja!... No, czy nie boisz się tej groźby?

Uśmiechnij się, Moja Najukochańsza Dziewczynko — w nagrodę za powyższą burę poproszę któregoś z naszych panów poetów, aby poświęcili Ci jakiś piękny wierszyk. Wierszyk dla „Zuch — Dziewczynki“, która jest słodka, a równocześnie ogromnie radosna i żywa.

Pozdrawiam Cię serdecznie i przechodzę do Twych komunikatów:

„Serdeczne pozdrowienia dla „Złoteńka“, „Białej Ujajali“, „Złotego Słoneczka“ i „Smutnej Kazienki“. Tę ostatnią zapytuję, czy i ona mieszka w Łodzi i czy nie jest brunetką?

Ponadto zasyłam serdeczności „Maleńkiej Tajemnicy“ i „Przedwiośniu“.

TRZEBA ZROBIĆ KONIEC...

„Smutna G.“ Tak, masz rację, Kochana Dziewczynko, znalazłaś się w bardzo przykrej sytuacji, z której będzie teraz trudno, trudno wycofać się. A chciałabym, aby to nastąpiło jak najprędzej, gdyż nie widzę najmniejszego sensu przedłużania tego, co już dawno powinno być skończone. Zatem dużo dobrej woli i samozaparcia, Droga Moja! Jednym silnym ruchem proszę przeciąć smutne więzy, które spętały Twoje jasne myśli i młodzieńcze zapały. Nie możesz pozostawać dłużej pod dachem, gdzie myślą o Tobie nieżyczliwie i zaledwie toleruja Cię. Trzeba mieć swoją dumę, szlachetną, kobiecą dumę! Wróć więc do matki i staraj się usilnie o jakieś zajęcie. Praca nada Twemu życiu pewną treść i jakiś kierunek. O tym, co było zapomnij! Jesteś młodą, więc szczęście jeszcze przyjdzie do Ciebie i nowa miłość, prawdziwsza i szlachetniejsza, nauczy Cię inaczej myśleć — pogodniej i więcej rozsądnie. Zobaczysz! Nic mnie tak nie ucieszy, jak wiadomość, że nareszcie zamknęłaś tę najsmutniejszą kartę swego życia, którą trzeba było koniecznie zamknąć, aby pozostać człowiekiem uczciwym, bez skazy. Przyjm ode mnie gorące uściski, Moja Smutna Dziewczynko!

STARSI CZĘSTO MAJĄ RACJĘ

„Słodka Hel“. Oj, muszę Ci przyznać, że dobrze wybrałaś pseudonim, lecz gdy mam być szczerą i w myśl Twego życzenia dawać Ci rady, „wyposażać duchowo“, jak to określiłaś — to muszę Ci powiedzieć, że powinnaś była posłuchać próśb osoby, o której mi piszesz. Starsi zawsze, a przynajmniej często mają rację. Powinnaś była te racje uznać.

Owszem, „Krainiakom“ powiem, że ich lubisz bardzo i że prosisz mnie, abym uścisnęła wszystkich razem i każde z osobna.

„Blance“ donoszę w Twoim imieniu, że jej posyłasz specjalne pozdrowienia i że ogromnie podobaja Ci się jej wierszyki, a szczególnie ten ostatni. Mówię jej i to, że cieszysz się nieśmiałą nadzieją, iż Ci, jako nowej siostrzyce, poświęci jakiś mały wierszyk.

Pozdrawiam Panią serdecznie i proszę o nadesłanie adresu, który zapomniałaś podać.

BOJĘ SIĘ...

„Wieszczka Kwiatów“. Kochanie, boję się tych Twoich złotych słówek, bo jest mi tak po nich, jakby mi ktoś wysmarował serce miodem. Tak, tak! Cóż to będzie, gdy nie starczy mi tych złotych słówek, gdy na ich miejsce przyjdą inne słowa — zimne i szare? Serce przyzwyczajone do słodyczy, może się wówczas skurczyć boleśnie. Boję się... Mimo wszystko całuję Cię, Najmilsza Wieszczko i proszę bardzo o jak najczęstszą pamięć. Dopisek zamieszczam:

„Halo! „Don Juanie“, za miłe słowa ślicznie dziękuję i w zamian zasyłam moc uśmiechów.

„Samiuteńkiej“ ślę siostrzany uścisk dłoni. Może Pani napisze do mnie?

„Samotny Mieszczuchu“, bardzo żałuję, że mieszkam tak daleko od Torunia, bo miałby Pan we mnie towarzyszkę wycieczek rowerowych.

PRZYJMUJĘ PANIĄ

„Hania znad Brdy“. Przyjmuję Panią do „Krainki“ i równocześnie dziękuję za słowa uznania pod jej („Krainki“) adresem.

Trochę się dziwię, że potrzebuje Pani nas, lecz tłumaczę to sobie dodatnio. Wierszyki oddałam do „Teczki Wujka Janusza“ — sądzę, niedługo ukaże się ich ocena.

Proszę mi wierzyć, iż chętnie służę Pani uwagą i radą, gdybyś jej potrzebowała. Zaś „Krainiacy“ na pewno otoczą Cię uczuciem najserdeczniejszym, gdy przeczytają poniższe Twoje słowa:

„Przyjmijcie, Kochani, serdeczny uścisk dłoni od „Hani znad Brdy“. Niemałą radość sprawia mi czytanie Waszych listów, w których otwieracie swe serca przed sobą. Nie znam Was bliżej, niestety, gdyby jednak któraś lub któryś zechciał przesłać mi kilka słów — byłabym bardzo zadowolona. Na razie przyjmijcie serdeczne pozdrowienia i moc dobrych życzeń!“

ROZUMIEM...

„Habe“. Jak łatwo się Pani zorientować dzięki niniejszemu, list Jej zasłużył na odpowiedź. Pisze Pani tak równo, gładko i czytelnie, że trudno mi poznać, że i Ty masz w życiu bóle i troski. Często z pierwszego rzutu oka na list nowej sympatyczki, czy sympatyka „Krainy“ wnioskuję o ich charakterze i życiu. Rozumiem Cię jednak i wiem, co Cię boli. Nie trać proszę wiary w to, że szczęście prawdziwe i do Ciebie się uśmiechnie.

Na razie niech Ci będzie radością przyjaźń i życzliwość „Rodzinki“, którą mam wrażenie — z miejsca sobie zjednasz.

Życzę Pani dużo dobrego i przesyłam przyjacielski uśmiech.

Dla całej „Krainki“ przesyłam za Ciebie pozdrowienia.

Teczka Wujka Janusza

WIERSZ BARDZO NIEPORADNY!

„Pegaz“. Jestem ironiczny?? — owszem, ale tylko wtedy, gdy otrzymuje do ręki wiersz w rodzaju Pańskiego...

„Złoci się niebo listowiem jesiennym,
Błyszcza głucho kwiaty wśród ziemskich niw,
A wrony próżno dziobem o mur biją...“

Doprawdy, nie słyszałem nigdy, aby błyszczały kiedyś „głucho kwiaty“... Trudno, nie potrafię sobie nawet tego wyobrazić, jak również i tego, że poezja Pana mogłaby dojrzeć do tego stopnia, że byłaby uważaną za dobrą, za doskonałą. Chyba, że nauczyłby się Pan logiczniej rozumować!... To może... wówczas... kto to wie!...

CZEKAM NA INNE WIERSZYKI

„Wieszczka Kwiatów“. Jakże mi miło, że w mojej „Teczce“, złożyła mi wizytę i „Wieszczka Kwiatów“. W dodatku autorka dobrze zapowiadających się wierszyków! Czy wiesz, „Wieszczko“, że Twój wierszyk — „Jesienne dni“ — jest wcale miły? Zamieściłbym go też chętnie, gdyby nie fatalna trzecia zwrotka, która popsuła bardzo miłą całość. Zwrotkę tę próbowałem poprawić, ale... nie udało się, więc poczekam na inne, lepsze wierszyki, a na razie ślę mojej nowej Sympatyczce bardzo serdeczny uścisk dłoni.

DALSZE WIERSZYKI POWITAM Z RADOŚCIĄ

Pan T. M. M. Wiersze — ładne, tylko w dwóch pierwszych są drobne usterki. Zamieszczam najlepszy. Proszę nie przemęczać się zbytnio pracą organizacyjną i pozostawić również trochę czasu dla siebie. To słusznie się Panu należy! Dalsze wierszyki Pana, jak zwykle, powitam z radością. Przypuszczam, że napisze Pan już coś o pierwszym śniegu, o grudniowych nastrojach — będzie to bardzo aktualne i na pewno pójdzie na pierwszy ogień do druku. Przesyłam Panu, starym zwyczajem, mocny, przyjacielski uścisk dłoni.

ŚWIAT JESIENIĄ...

Świat taki dziwny jest zwykle jesienią,
Bez kwiatów, zbóż, bez kwietnych łąk,
Że zda się ludziom, że to łzy się mienią,
Że to tęcze tak grają w krąg...
Świat taki dziwny jest zwykle jesienią...
Myśl twoja płynie, jak szybki ptak
Za tą miłością i ust czerwienią,
Na które czekasz już tyle lat!...

Tadeusz Maria Mański.

ODŁOŻYŁEM DO TECZKI

P. M. G. Sosnowiec. Wiersz — „Cmentarze“ — bardzo ładny i nastrojowy. Odłożyłem go do teczki i na pewno zamieszczę na przyszły rok. Pozostałe wiersze — „Skarga poety“ i „Zapomniałem“... — również odłożyłem do teczki, ale nie przyrzekam ich wydrukować.

Zdjęcia zwróciłem Panu listownie, tylko jedno zatrzymałem, mianowicie profil. Życzeniu Pana, dotyczącego nadesłanych zdjęć, uczynimy wkrótce zadość.

Za pozdrowienia dziękuję i przesyłam ich również moc w imieniu swoim i całego zespołu redakcyjnego.

CZY ZMIENI PANI ZDANIE?

„Przedwiośnie“. „Niedobry“? — chyba już teraz zmieniła Pani swoje niepochlebne zdanie na lepsze, prawda? Radbym się coś o tym dowiedzieć i uzyskać pełne rozgrzeszenie, aczkolwiek... z win niepopełnionych. Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam i — czekam!

Raj kobiet



Do czarnej popołudniowej sukienki nosi się obecnie często wdzięczne bluzeczki z wzorzystej lamy, uzupełnione krótkim bolerkiem z tej samej tkaniny.

Długie suknie wieczorowe ozdabia się szerokimi pasami wykwintnego futra lub czerwonymi pajetkami.

Na powyższej ilustracji mamy również dwa bliźniacze modele przewidziane na dwie różne pory dnia. Mianowicie na popołudnie i na wieczór. I tak, na popołudnie komplet złożony z czarnej spódniczki i kasaka koloru zielonego, zaś na wieczór kasak tego samego kroju, lecz już wykonany z jaskrawego wzorzystego brokatu, kompletuje się długą jedwabną, drobno zaplisowaną sukienką.

Zmarła po 67 miesiącach letargu

Pewnego wieczoru zimowego w 1932 roku Patrycja Mac Guive, młoda i piękna stenotypistka, wróciła do domu z biura dziwnie zmęczona i senna. Mieszkała z matką i siostrą w pięknej willi podmiejskiej Chicago.

— Czy jesteś chora? — zaniepokoiła się rodzina.

— Nie, pomóż mi się tylko rozebrać — prosiła Patrycja siostrę — tak bardzo chce mi się spać, że nie mam sił się ruszać.

Następnego dnia rano daremnie próbowano obudzić Patrycję o zwykłej porze. Zostawiono ją więc w spokoju. Dopiero wieczorem ten mocny sen zaczął budzić niepokój. Wezwany lekarz stwierdził rodzaj letargu. Pocieszano się, że może za kilka dni to minie. Niestety, mijały dni i tygodnie, tygodnie i miesiące i pomimo energicznych starań szeregu lekarzy nie udało się obudzić pięknej Patrycji.

Wreszcie któregoś wieczoru śpiąca otworzyła oczy, poznała matkę i siostrę i powiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem jedno tylko zdanie: „Zerwałam z Fredem", po czym znowu zapadła w swój ciężki sen.

Na tej podstawie psychiatrzy stwierdzili, że przyczyną dotąd nieustaloną tego dziwnego, niekończącego się snu, był zapewne „choc" nerwowy, wywołany jakimś bolesnym przeżyciem.

Po rozmowie z narzeczonym Patrycji okazało się rzeczywiście, że tego dnia, kiedy zapadła w swój straszny sen, posprzeczała się z nim poważnie i postanowiła zerwać narzeczeństwo. Najwidoczniej przejście to wywarło na niej tak głęboki wstrząs psychiczny, że zapadła w letarg.

Nieszczęśliwy ten wypadek wywołał oddźwięk współczucia wśród mieszkańców Chicago. Prasa nazwała Patrycję Mac Guive „śpiącą pięknością Chicago" i nazwa ta przylgnęła do niej. Przysyłano jej niezliczoną ilość kwiatów i podarków, a także listów miłosnych, sądząc zapewne, że może właśnie tego dnia nastąpi niecierpliwie oczekiwane przebudzenie.

Niestety, nigdy już nie nastąpi. Ostatnia wiadomość, jaką podała prasa o śpiącej piękności Chicago — to była wiadomość o jej śmierci. Po 67 miesiącach letargu, zawiedziona w miłości Patrycja Mac Guive zakończyła życie.

Nierozegrana walka

W Nowym Jorku istnieje Wszechświatowe Towarzystwo Obrony Kobiet. Niedawno Towarzystwo wydało w milionach egzemplarzy broszurkę p. t. „O nas". Jest to zbiór zdań wielkich ludzi o kobietach. Cytaty dobrano w ten sposób, że powstała książka apologetyczna, przyznająca kobietom wszelkie możliwe cnoty i zalety. Wynika z niej, iż od Buddy i Homera do Emersona znakomici filozofowie, poeci, a nawet politycy uważali kobietę nie tylko za ideał piękna i wdzięku, lecz również za wcielenie mądrości, woli, energii i t.d., i td.

Znalazł się przecież jakiś anonimowy nieprzyjaciel kobiet, który nie dał się przekonać tą „złotą księgą" kobiety. Zapewne było więcej takich niedowiarków, ale ten okazał się szczególnie zawziętym: nie poprzestając na krytyce, przeszedł do ataku, przy czym postanowił pobić przeciwnika, a raczej przeciwniczkę tą samą bronią, jakiej użyto dla pognębienia wrogów rodu kobiecego.

Jak się do tego zabrał? W bardzo prosty sposób. Na broszurę p.t. „O nas", odpowiedział książeczką pt. „O was", która jest również zbiorem cytat z dzieł najznakomitszych autorów.

Na pierwszym miejscu i tutaj znalazł się Homer, który widocznie był bardzo lekkomyślnym starcem i plótł, co mu ślina na język przyniosła: dziś wynosił kobietę pod niebiosa, a jutro nie szczędził jej słów pogardy. Potem idą: Szekspir, Dante, Leibnitz i wielu, wielu innych.

Homer, zaliczony w pierwszej broszurze do wielbicieli kobiet, w drugiej — tak się wyraża o t. zw. lepszej połowie ludzkości:

— Radzić się kobiet, to jakby szukać spokoju u wiatru.

Szekspir wydał jeszcze znacznie surowszy wyrok.

— Kobiety! Na imię wam nicość!

I tak dalej, i tak dalej, w podobnym tonie.

Ba, okazuje się, że nawet same kobiety niekiedy oceniają swoją płeć nader ujemnie. Tak np. George Sand napisała w pewnym liście: „Kobiety są podobne do biblijnego Samsona. Często myślę, że cały ich rozum i cała siła weszły we włosy, a głowa została pusta. Nędzne stworzenia".

Anonimowy autor (czyżby nie miał odwagi uchylić przyłbicy?) broszury „O was" dokucza z wyrafinowaną złośliwością kobietom, z którymi ma pewnie jakieś zastarzałe porachunki: rozesłał swoją kompilację wszystkim członkiniom Towarzystwa Obrony Kobiet i wysyła na zebrania kobiece kolporterów rozdających bezpłatnie ten akt oskarżenia".

Jest to dość kosztowna zabawa. Kto ją finansuje? Krążą pogłoski, że znany bogacz amerykański Mellon. Ale i on, jak widać, pragnie pozostać w cieniu i walczy z za płota. Kobiety mogą być dumne: dobre czy złe, mądre czy głupie, w każdym razie są chyba potężne, jeżeli ich wrogowie nie ośmielają się wystąpić otwarcie.

Tysiące cytat chwali kobiety w książce „O nas".

Tysiąc cytat pogrąża ród niewieści w broszurze „O was".

I tu, i tam mówią sławy, znakomitości, luminarze, niekiedy, nawet — jak widzieliśmy — ci sami.

— Komu wierzyć? Kto ma słuszność? A jeżeli ten sam sędzia wydał rozbieżne wyroki w tej samej sprawie, to który uznać za prawomocny?

Trudno, widać nie możemy tutaj — jak zresztą również w tylu innych dziedzinach — polegać na autorytetach, lecz musimy wyrobić sobie własne zdanie.

Ale wysiłek wydawców obu broszur nie poszedł na marne; czytelnicy czegoś się przecież dowiedzą z tych dzieł: spostrzega, że cytatami można dowieść wszystkiego, co się komu żywnie podoba.

I będą z jednakowym sceptycyzmem czytali i „O nas" i „O was".

Wojna wielkich duchów o kobietę skończy się nierozegraną.

Czy można się było spodziewać innego wyniku?

Ze świata

Romantyczna przygoda okrętu 100 narzeczonych

Przy wejściu do australijskiego portu w Melbourne wznosi się wysmukła latarnia morska, wybudowana na pamiątkę romantycznej wyprawy kobiecej załogi angielskiego statku przed stu laty. Właściwie poświęcona jest ta latarnia głównej bohaterce tej australijskiej przygody, Walerii Batman.

Było to, jak wspomnieliśmy, 100 lat temu. Australia była wówczas angielską kolonią karną dla przestępców. Rząd angielski, pragnąc z tych ludzi uczynić pożytecznych członków społeczeństwa, chwycił się bardzo oryginalnego, ale niemniej skutecznego środka, jakim było małżeństwo z białą kobietą. Dobroczynny wpływ kobiety miał dokonać błogiej przemiany w zatwardziałych sercach zbrodniarzy i... nie zawiódł w nim pokładanych nadziei.

Pierwszy transport białych narzeczonych do Australii wyruszył w roku 1835 na pokładzie statku „Victoria - Rebeka". Na skutek apelu rządu angielskiego zgłosiło się przeszło sto kobiet angielskich, które oświadczyły gotowość poślubienia deportowanych skazańców australijskich.

Trudno się wczuć w położenie tych pionierek cywilizacji, które podjęły tę podróż w „nieznane". Tęsknota za przygodami, samotność, nędza i, być może, także wrodzona ofiarność kobiety były zapewne dla większości decydującymi motywami w ich postanowieniu.

Długa podróż dokoła Afryki i poprzez trzy oceany nie odbywała się pod zbyt szczęśliwą gwiazdą. „Victoria - Rebeka“ walczyć musiała kilkakrotnie z ciężkimi nawałnicami, aż wreszcie, w odległości już tylko dwóch dni drogi do lądu australijskiego, dokonał się jej los. Rzucona przez falę o skałę doznała ciężkiego uszkodzenia i poczęła tonąć. Spuszczono łodzie ratunkowe, ale zrazu żadna z kobiet nie miała odwagi powierzyć się tym łupinom. Dopiero przykład Walerii Batman, która pierwsza zajęła miejsce w łodzi podziałał zachęcająco na jej towarzyszki, z których 20 podążyło za nią. Po kilkudniowym borykaniu się z falami Waleria Batman i jej 18 towarzyszek — dwie nieszczęsne pochłonęły fale — wylądowały w dniu 23 grudnia 1835 roku w pięknej, obszernej zatoce.

W miejscu tym wznosi się dzisiaj milionowe miasto Melbourne. Wówczas okolica ta prawie jeszcze zupełnie nie była zamieszkała. Białe kobiety udały się w głąb kraju i w jaskiniach górskich znalazły dostateczne schronienie. Miały jeszcze nieco prowiantu, a okolica obfitowała w smaczne owoce.

Niebawem znalazły się w obliczu nowego niebezpieczeństwa. Odkryte przez krajowców, musiały się mieć stale na baczności przed ich niespodziewanymi napadami. Udało im się przecież wejść z dzikusami w porozumienie, okupione jednakże wydaniem jednej z towarzyszek, która się poświęciła i została żoną wodza szczepu. Pozostałe mogły teraz w spokoju zająć się uprawą roli i urządzeniem osiedla.

Minęło kilka miesięcy, aż razu pewnego kolonistki angielskie usłyszały od strony gór huk broni palnej. Biali ludzie znajdowali się w pobliżu.

Kobiety wyruszyły na ich spotkanie, które dla obu stron było niesłychanie emocjonujące. Waleria Batman, w uniesieniu radosnym, rzuciła się na szyję dowódcy wyprawy, który był przystojnym rosłym mężczyzną. Mężczyźni nie mogli się nadziwić, skąd się wzięły w tych dzikich okolicach białe kobiety.

Po obustronnych wyjaśnieniach nastąpiło szybkie porozumienie między stronami, a nad zatoką poczęło się wznosić szybko okazałe osiedle.

Była to pierwsza komórka dzisiejszego milionowego miasta Melbourne.

„Victoria - Rebeka“ tymczasem nie zatonęła, lecz zdołała dopłynąć do grupy wysp Balls Piramid. Statku nie było już można wprawdzie uratować, ale pasażerowie (w tej liczbie pozostałe 80 kobiet, towarzyszek **Walerii Batman**) i załoga zdołali dotrzeć do bliskiego lądu. Duchowny okrętowy pobłogosławił młode pary, które się rychło znalazły, a małe osiedle rozrosło się niebawem do prawdziwego państewka miniaturowego.

Kiedy po 27 latach odkrył kolonię tę pewien statek, liczba mieszkańców wynosiła 273.

Waleria Batman i jej towarzyszki były pierwszymi pionierkami, które pomogły Anglii zdobyć Australię.

PIOTR ŁASTÓWKA.

Wyrzuty sumienia

Żonie mojej!

O, my kobiety, biedne, nieszczęsne istoty na tej ziemi. Cóż warte jest nasze życie, szare, spętane łańcuchem udręk i cierpień... Jakże długo jeszcze będziemy tym małym robaczkiem, skazywanym przez los i deptanym przez tych, którzy mianują się władcami... Czy nastąpi kiedy ten punkt przełomowy, gdy i kobieta powie: jestem silna, my potęga!...

My potrafimy kochać, cierpieć i poświęcać się, a kiedyś potrafimy zmusić mężczyzn szanować kobietę, ubóstwiać ją, nie w chwilach szału, gdy tarzają się u naszego łoża, nie w chwilach brutalnej rządzy, — ale zawsze, nawet na odległość. Właśnie zdobycie takiego uczucia jest marzeniem każdej kochającej kobiety.

Tak roiła sobie Ninka, siedząc samotnie w fotelu.

Nagle dzwonek.

— To on, — szepnęła — Znów podejrzenia, znów przygotuj się Ninuś na łzy, — ciężko westchnęła, podnosząc się by otworzyć drzwi. — Kiedyż wreszcie się skończy, ta udręka? Kiedyż będę mogła nazwać się szczęśliwą?... O Boże, Boże, co ja przeżywam... — dodała, nerwowo chwyciwszy za klamkę.

Tak, był to Izydor, w pełni sił i rozkwitu swej młodości.

Rzucili się ku sobie.

— Nienawidzę cię, a jednak czekałam — wykrztusiła oswobodzona z uścisku.

— Czułem to i dlatego właśnie pośpieszyłem

— Siadaj — wzięła go za rękę.

Gdy usiedli, lekko ją tulił do siebie.

— A gdzież domownicy? — zapytał.

— Wyszli wszyscy. Tak ładnie, nieprawda? Tylko ja siedzę, samotna i tęsknię i martwię się, co będzie?...

— Z czym na przykład? — zwrócił się w zakłopotaniu Izydor.

— Jakto? nie wiesz?! — zmierzyła go Ninka, patrząc szeroko otwartymi oczyma. — Jeszcze to ci trzeba tłumaczyć? Sądzę, że raczej nie chcesz zrozumieć?

— Ninuś, wszystko wiem, zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, co my przeżywamy i dlatego właśnie jestem dwa razy nieszczęśliwy... Zresztą zostawmy te drażliwe tematy, dobrze? — mówił błagalnie.

Pytania te, poruszane częstokroć, raniły oboje. Zapominali o nich tylko w chwilach przytuleń i niewinnych pocałunków.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

— Kocham cię — zaczęła Ninka — wiem że i ty mnie też, czyż nie tak? — pytała, tuląc się do niego — a jednak nie możemy należeć do siebie...

— Nie mów o tym — prosił Izydor — da Bóg, że i nam otworzy się szczęśliwa droga życia. Wiem, że boli cię to, lecz nie przejmuj się. Czekajmy cierpliwie jutra... Proszę cię, nie rozpaczaj, nie bierz wszystkiego tak bardzo do głowy. Patrz jakie masz siwe już włosy, czyżby miłość była powodem?... — i zanurzył usta w te siwe, puszyste jej włosy.

— O, gdybyś wiedziała jak wielką przeżywam rozkosz, zatapiając twarz w twych bujnych włosach. Znajduję tam wszystko, czego pragnie człowiek stroskany. Zapominam o cierpieniach i zgryzotach. Zapominam nawet o tym, że gdzieś mam obowiązek nałożony przez ludzi i wstrętne prawo, które pozbawia wolności każdego niemal człowieka. Wolność! — zatęsknił Izydor. — Iluż ludzi traci życie, walcząc o tę wolność! Iluż lepszych synów każdego z narodów gnije po lochach, gdzie i domaga się: — wolności, wolności! A jej, niestety, nie ma!..

— Nie rozpaczaj! — uspakajała go Ninka. — Cieszmy się i żyjmy tą chwilą, w której jesteśmy razem.

— Łatwo powiedzieć, tylko... Zrozum, że kocham cię, jak żadną, inną kobietę. Ty jedna z pośród tłumu potrafiłaś mi dać wszystko tego czego jeszcze nie miałem. Ty otworzyłaś przede mną horyzonty czaru, cierpień i słodyczy. Naprawdę, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Jesteś dla mnie wszystkim... — I wpił się, jak tygrys w białe ramiona Ninki.

Nie broniła się.

— O, gdybym był bogaty — ciągnął, ocknąwszy się — obsypałbym cię złotem i srebrem. Chodziłabyś po perskich dywanach w zamku wzniesionym nad morzem. Miałabyś wszystko to, czego dusza twoja zapragnęłaby. A ja klęczałbym u twych stóp, jak rycerz i niewolnik zarazem.

— Nie mów o tym — przerwała z pogardą — nie chcę tego, gardzę klejnotami, nienawidzę złota i drogocennych pałacowych obić i figur. Chcę mieć tylko cztery ściany na poddaszu, a wśród nich ciebie. Jest to moje jedyne marzenie. Ja pragnę ciebie, rozumiesz? Ja pragnę tylko w twoich ramionach być i tulić się ku tobie, — uniosła się, widząc, że Izydor jest myślą gdzieś daleko. — Daj mi twoje usta, słyszysz? Niech ja upiję się nimi, niech się rozkoszuję, aż stracę przytomność. Boć kto wie, co będzie jutro? Za godzinę, zniknież z moich oczu i ja słaba kobieta nie będę miała prawa nic głośno powiedzieć, albowiem jesteś niewolnikiem innej, której zresztą nie kochasz... Więc niech ja wówczas żyję choć tym wspomnieniem, że miałam ciebie, byleś moim...

Izydor nie poruszył się. Był blady.

— I cóż siedzisz ponury? Nie słyszysz? Podły jesteś! — zerwała się nagle, szarpiąc chusteczkę i coś mamrocząc półgłosem.

Zbudził się.

— Ninuś, co robisz, zastanów się — pochwycił ją w ramiona i posadził obok siebie.

Szlochała głośno.

— Uspokój się — prosił.

Szlochała rozpaczliwie, namiętnie, nie słysząc najczulszych słów, którymi ją darzył. Pierś falowała szybko. Izydor przytulił i zaczął kołysać, a w sercu zbudziło się wspomnienie o dziecku, które, niespełna przed rokiem, tak samo usypiał. Uczuł tęsknotę za rodziną, która w tej chwili była daleko na wywczasach. Chciał zerwać się i biec tam, uściskać żonę, która przecież już tyle trudu i znoju przeżyła z nim wspólnie. Jakże on może tulić inną kobietę! — I wyrzuty sumienia poczęły go dręczyć. — Nie mógł nad sobą zapanować. Burzyło się w nim wszystko z coraz większą gwałtownością i siłą. W jednej chwili poczuł, jak wielką jest spójnia dwojga ludzi, zbudowana na dawanych sobie wzajem rozkoszach i radościach, a którą to spójnię nadomiar scementowało dziecko — najpiękniejszy kwiat wybujały właśnie na tych rozkoszach.

Zmarszczył się wewnętrznie. Zaczął otrząsać się z uczucia do Ninki, które jak polewa pokryło trwałą powłokę, uczuciową miłości względem żony. Nie mógł, w żaden sposób nie mógł i nie powinien dać tej drugiej tego, co należało do pierwszej. Nie mógł być obłudnym złodziejem — to nie po męsku. Niedługo, a zacząłby brzydzić się sam sobą.

W czasie tych rozmyślań, kiedy zapanowała atmosfera pozornego spokoju, Ninka zasnęła. Zdjął ją lekko ze swych piersi, jak śpiące dziecko, które żal obudzić, i ostrożnie położył na tapczanie.

Spała, niczego nie przeczuwając.

Izydor pochylił się nad nią i zastanowił się: Oczy, w których tak pięknie zapalały się iskierki pożądania, migotały lśnienia tkliwości, to znów buchało radosne marzenie niepojętego „wspólnego szczęścia“ — teraz kryją powieki. W mózgu, pod gęstwiną tak upajających włosów śpią sny o przyszłości. W kącikach serca zataiły się wszystkie jej kobiece tęsknoty, omijane teraz przez nurt krwi płynącej niezmiennie, stale i równo.

— Ha, trudno, postanowienie zapadło.

Ostrożnie zgarnął w dłonie włosy Ninki. Napełnił ich wonią płuca, ucałował czoło i jakby cały przepojony jej czarem wyszedł z pokoju.

Zdawało mu się, że płynęły za nim ślad w ślad wszystkie szlochy Ninki i łzy niewypłakane, tęsknoty niezaspokojone i marzenia zwiędłe w jednej chwili, — a przed nim coraz bliżej majaczyły ciepłe dłonie żony i rósł, potężniał szczebiot dziecka radującego się tym powrotem.



Bułgarska para królewska przybyła z nieoficjalną wizytą do Londynu.

Zapukała nieśmiało do drzwi, a gdy dobrze znany jej głos baronowej Wimpfen dał jej pozwolenie wejścia, otworzyła drzwi i z bijącym sercem weszła do dużego eleganckiego pokoju hotelowego.

Stanęła u progu i oglądnęła się wokoło siebie.

Przy biurku siedziała, czarno i skromnie ubrana dama. Ciemne jej włosy zmieszane już trochę z siwymi, były gładko uczesane. Twarz również nie była już pierwszej świeżości.

Czyż możliwe, aby ta dama była baronową Wimpfen? — pomyślała Anastazja na pierwsze wejrzenie.

A jednak była to ona. Te same piękne i regularne rysy, tylko, że bardziej jeszcze ujmujące niż dawniej, przez wyraz melancholii i łagodności, którego dawniej nie posiadały.

— Chodzi to pewno o tę posadę w domu sierot? — spytała baronowa uprzejmie. — Niestety, jest ona już obsadzona; ale może mogłabym pomóc w inny sposób, bo lubię pomagać tam, gdzie widzę tego potrzebę!

Anastazja nie wierzyła swoim uszom. Takie dobroduszne, poczciwe słowa z ust niemiłosiernej baronowej Wimpfen? Łzy cisnęły jej się do oczu, gdy odpowiedziała:

— Ach, pani baronowo, jeżeli jeszcze odważam się pokazać pani, to czynię to dlatego, że z całego serca żałuję brzydkiego swego postępku wobec jaśnie pani. Czy może mi pani baronowa przebaczyć moją winę i uwolnić mnie od wyrzutów sumienia.

— Anastazjo! — zawołała Lola Wimpfen, poznając dopiero teraz dawną swą towarzyszkę. — Ależ mój Boże, jak ty wyglądasz! Myślałam, że żyjesz w dobrych, uregulowanych stosunkach!

Rzekłszy to, zerwała się z krzesła z dawną życzliwością i przyciągnąwszy Anastazję na środek pokoju, zaczęła przypatrywać się jej z litością.

— Dobroć pani baronowej przygnębia mnie — jęknęła Anastazja — bo oczekiwałam innego przyjęcia. Ach, pani baronowo, pieniądze u niej wymuszone, nie przyniosły mi szczęścia! Skradziono mi wszystko i zostawiono w największej nędzy!

— O, jakże mi cię żal! — rzekła baronowa ze szczerością w głosie. — Przestań płakać, Anastazjo, już to jakoś będzie, nie dam ci biedować!

— O, pani baronowo, dobroć pani mnie do łez wzrusza — łkała Anastazja. — Tylem przeciwko jaśnie pani zgrzeszyła, a pani przebacza mi to i chce jeszcze dobrodziejstwa świadczyć!

— Dajmy temu spokój, Anastazjo — rzekła baronowa łagodnie — nie postąpiłaś wprawdzie wobec mnie bardzo uczciwie, ale i ja byłam temu trochę winna. Zapomnijmy o przeszłości, bośmy się od tego czasu obie zmieniły.

A teraz wykorzystajmy chwilę obecną dla dobrych i użytecznych czynów! Opowiedz mi Anastazjo, jakie życie obecnie prowadzisz, abym wiedziała w jaki sposób pomóc ci mogę!

To rzekłszy, wskazała Anastazji miejsce na kanapie i sama usiadła obok niej.

Anastazja zaczęła jej opowiadać o swoim nieszczęściu, i że cały świat ją wtedy opuścił, prócz biednej krewnej, która ją miłosiernie do siebie przyjęła.



W otwarciu jesiennej sesji parlamentu angielskiego brały również udział panie z towarzystwa, które widzimy na naszym zdjęciu.

Gdy zaś wspomniała o chorobie Teresy, i o biedzie i niedostatku, panującym teraz w ich izdebce, ciężkie łzy potoczyły się po policzkach.

— Chwała Bogu, że to jest wypadek, w którym ja pomóc mogę, rzekła baronowa ze współczuciem i ulgą.

Pośpieszyła do swego biurka i wyjąwszy z niego rulon złota, wsunęła go Anastazji w rękę.

— Przyjm, kochana moja — rzekła uprzejmie baronowa — wystarczy to na pielęgnowanie kuzynki, a gdy ona wyzdrowieje, to dam wam obom zajęcie w jednych z moich dóbr, przy jednym z zakładów, które niedawno urządziłam, a przy którym potrzebuję osoby, którym mogę zaufać.

Tak więc skończyła się ich nędza, a w dodatku przez osobę, o której nigdy nie byłaby myślała, że jej kiedykolwiek w życiu dobrodziejstwo wyświadczy.

Biedna Anastazja spłakała się jak bóbr, a były to częścią łzy radości, że się Teresie będzie mogła odwdzięczyć; częścią łzy wzruszenia i zawstydzenia.

— Odjeżdżam jutro — rzekła baronowa, uchylając się od podziękowań Anastazji — a ty napisz mi jak się twojej kuzynce powodzi. Zaadresuj do zamku Elpingen, i przyrzecz mi na słowo honoru, że mi napiszesz, gdyby twoja kuzynka potrzebowała jakiegoś wsparcia w ciągu choroby.

— O, pani baronowo! — łkała Anastazja.

— Umówimy później, pisemnie — mówiła baronowa Wimpfen dalej — kiedy się macie z kuzynką sprowadzić do Elpingen. Dam wam na mieszkanie ładny domek z ogrodem, który stoi dotąd niezamieszkany.

Ty będziesz pogła być lektorką w moim zakładzie dla starców. Czy chciałabyś codziennie dwie godziny na głos czytać tym biednym starcom, którym oczy więcej nie służą?

Anastazja godziła się na wszystko, nie mogąc przy tym wyjść z podziwu nad zmianą, która zaszła w baronowej, nad jej łagodnością i dobroczynnością. Była wzruszona i odeszła od niej z głębokim uczuciem wdzięczności w sercu.

Po drodze do domu przypomniała sobie z jaką trwogą szła do baronowej, a teraz wracała z radością. Wstąpiła do kilku sklepów dla zakupienia potrzebnych rzeczy. Wzięła też ze sobą jakiś środek wzmacniający i wazonik kwitnących fiołków dla Teresy. Dla Peki kupiła paczkę pierników, dla siebie zaś tylko trochę bułek i parę kiełbasek, mimo, że przez cały dzień nic prawie nie jadła.

Obładowana pakunkami i pakuneczkami wróciła wreszcie do ubogiej izdebki z dziękczynną modlitwą na ustach dla Boga, że tak zmieniać umie ludzkie serca.

Teresa spała jeszcze, a Pepka siedziała znudzona przy niej, gdyż lekcji dawno już się nauczyła.

Piernik, który jej Anastazja przyniosła, bardzo jej humor polepszył. Opowiedziała Anastazji, że pani Börner raz tylko zbudziła się i napiwszy się trochę wody, znów zasnęła.

Pożegnawszy się, wybiegła dziewczynka wesoło ze swym piernikiem, a Anastazja postawiwszy obok łóżka chorej wazonik fiołków, usiadła znów na swoim miejscu. Siedziała tak dość długo, pogrążona w gorącej modlitwie, gdy usłyszała głos Teresy, wymawiający jej imię.

Przestraszona zerwała się z siedzenia. Uspokoiła się jednak a nawet ucieszyła, gdy zobaczyła Teresę siedzącą na łóżku. Oczy jej były niezamglone, a policzki nie pałały gorączką.

— Jak tu ślicznie pachną fiołki — rzekła chora — czy to już wiosna?

— Tak jest, kochana Tereso — odpowiedziała Anastazja ze łzami radości w oczach — dla nas zima już przeszła, a nastała wiosna. Bóg to uczynił! Chwała Jemu na wieki wieków. Amen.

— Jestem tak dziwnie zmęczona i chciałabym jeszcze trochę spać — rzekła pani Börner — zbudzisz mnie Anastazjo, jak będzie czas wstać.

Rzekłszy to, odwróciła się na bok i znów mocno zasnęła.



Znana berlińska para tancerzy w teatrze „Metropol" w popisie tanecznym.

Anastazja pochyliła się nad nią, nadsłuchując czy jest już regularny oddech. Niebezpieczeństwo minęło.

Anastazja mogła nareszcie lżej odetchnąć. Od razu pozbyła się prawie wszystkich trosk. Nagła ta zmiana na dobre tak ją rozweseliła, że nie mogła zasnąć, serce jej biło szybko.

Nie często wznoszą się do nieba tak gorące dziękczynne modły, jak tej nocy z ust starej panny, która w biedzie i nieszczęściu odzyskała lepszą, szlachetniejszą część swojej istoty.

ROZDZIAŁ CCXVIII.

Gorączkowe majaczenia

Opuściliśmy Teobalda Haia w drodze do Wiednia. Długa i wyczerpująca podróż, cierpienie i obawa przed wyrzutami ojca za lekkomyślną wycieczkę, wszystko to składało się na jego zły humor, który się zwiększał w miarę zbliżania się do domu.

Kilka stacyj przed Wiedniem zatelegrafował do matki, oznajmiając swoje przybycie i motywując nią niejako to, co mu się wydarzyło.

— Lepiej będzie, jak pierwsza burza przejdzie przed moim powrotem — mruknął — mamusia będzie w wybornym humorze jak otrzyma telegram. Będzie wrzeszczała jak szalona, pozazdrościć Hani i Tereni! Będą się miały z pyszna!

Wyrwawszy kartkę papieru ze swego notesu, napisał ołówkiem te słowa:

> Przyjeżdżam dziś o 8-mej. Niech mój pokój będzie wyporządzony i niech mnie ktoś oczekuje na dworcu kolei Północnej, bo miałem mały wypadek i nie jestem całkiem zdrów.
> Teobald.

Dopisawszy adres matki, dał konduktorowi ten telegram do nadania.

Pani Hai żyła w nieustannej irytacji od chwili, w której markiz de Lorme wrócił do swego mieszkania u pani Spiller. Trwoga o synka nie dawała jej spokoju, a Hania i Terenia cierpiały sporo z powodu złego humoru swej pani.

Pewnego dnia, około 7-mej godziny wieczorem, stała pani aptekarzowa w kuchni i krajała cienkie kromki chleba, smarując je jeszcze cieńszą warstwą masła.

Pani Hai obchodziła się w ogóle z masłem tak, jak gdyby to była trucizną, z której ziarnko więcej mogłoby przyprawić o śmierć. Przytem narzekała ciągle na rozrzutność i chęć zbytku, który się coraz bardziej rozpowszechnia.

Wtem odezwało się silne dzwonienie u drzwi wchodowych.

— Idź, zobacz Haniu, kto tam przyszedł — rzekła pani Hai — musi to być ktoś lepszy, bo żebrak nie odważyłby się dzwonić tak energicznie.

W tym przypuszczeniu odwiązała pani aptekarzowa prędko swój duży gospodarski fartuch, poprawiła sobie czepeczek i strzęsła okruszyny chleba, aby móc przyjąć domniemanego gościa. Ale zamiast tego, wszedł posłaniec i wręczył jej telegram.

Pani Hai otworzyła śpiesznie depeszę, lecz przeczytawszy ją zbladła jak ściana i padła na krzesło, załamując ręce.

— Nieszczęście, nieszczęście! — lamentowała.

Lecz niedługo poddawała się rozpaczy. Wnet zakrzątnęła się koło urządzenia pokoju na przyjęcie chorego syna. A na oznaczoną godzinę pojechała po niego na dworzec.

Po pierwszych powitaniach i nieukrywanych łzach pani Hai, Teobald zapytał niecierpliwie:

— Czy mama zamówiła lekarza?

— Nie — przestraszyła się aptekarzowa.

— Taka niedbałość! — gderał Teobald — telegrafowałem przecież, że jestem chory. Mogła mama mieć tyle przezorności i zapewnić mi natychmiastową pomoc lekarską.

— Kiedy telegram twój przyszedł tak późno — usprawiedliwiała się pani Hai — i tak mnie przestraszył, że nie wiedziałam, co właściwie robić. Prócz tego miałam jeszcze sprzeczkę z ojcem o ciebie, a głupie pytania i nieporadność służących do reszty mnie zmyliły. Jestem pewna, że ty na moim miejscu nie byłbyś bardziej przytomny.

Teobald milczał mrukliwie.

Nareszcie zatrzymała się doróżka przed apteką pod Złotym Aniołem.

Pani Hai zeskoczyła i otworzywszy drzwi od apteki, zawołała na prowizora:

— Panie Bernardzie, przyjdź pan z Julianem pomóc memu biednemu synowi.

— Bardzo chętnie — odrzekł prowizor i odstawiwszy flaszkę z medycyną, którą właśnie miał w ręku, wybiegł z laborantem na ulicę i obaj wnieśli chorego ostrożnie do mieszkania.

— Doktora! — jęczał Teobald. — Obawiam się, że mi się bandaż zwolnił i zsunął.

— Haniu, biegnij po doktora — rozkazała pani Hai — ale prędko leć, tak jak stoisz.

Teobald leżał na łóżku i jęczał bezustannie.

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł pan Hai, senior. Przywitał on syna bardzo chłodno, chcąc mu tem pokazać, że jest niezadowolony z jego postępowania.

Teobald nie wziął sobie tego bardzo do serca. Kazał sobie podać selterskiej wody, skarżył się na okropne pragnienie i niecierpliwił się, że doktora jeszcze nie ma.

Gdy doktor wreszcie nadszedł, zbadał złamaną nogę uważnie i zrobił bardzo poważną minę.

— Ależ panie Hai — rzekł wreszcie z lekkim wyrzutem — jak się pan mógł puszczać w drogę w takim stanie? Jest to nieostrożność, którą pan może ciężko odpokutuje!

To mówiąc, zabandażował Teobaldowi na nowo złamaną nogę.

Pacjent krzyczał głośno, a pani Hai i obie służące okazywały mu tym swoje współczucie, że również głośno zawodziły.

Tylko aptekarz nie rozczulał się nad swoim jedynakiem. Od czasu kiedy dowiedział się, że Teobald zna jego tajemnicę i że z niej chce korzystać, patrzył na syna z pewną rodzaju odrazą.

Gdy lekarz opuścił pokój chorego, pan domu wyszedł za nim.

— Szanowny panie aptekarzu — przemówił doktor do niego — nie mogę panu zataić, że syn pański jest w wielkim niebezpieczeństwie. Obawiam się, aby nie nastąpiła febra i nie mogę jeszcze wiedzieć, jak zagoi się złamana noga.

— Kogo Bóg kocha, tego karze! — rzekł na to optekarz, wznosząc pobożnie oczy do nieba — ale kto Bogu ufa, tego On nie zawodzi!

— Pobożność pańska jest wzruszająca — zawołał doktor — byłoby rzeczywiście lepiej na świecie, gdyby wszyscy ludzie byli tacy jak pan!

To mówiąc pożegnał się, a pan Hai udał się wprost do kuchni.

— Co to jest moje dziecko — rzekł do Hani z miną świętoszka — żeś jeszcze nie podała naszej skromnej kolacji? Wprawdzie pisano jest, że człowiek

nie żyje z samego jedzenia, ale ciało nasze słabe, mimo że dusza chętna!

— Ach, panie aptekarzu — odpowiedziała przystojna kucharka — tak przestraszyłyśmy się jak panicz zaczął zawodzić, że o jedzeniu i piciu zapomniałyśmy zupełnie.

. . . .

— No, to sobie teraz przypomnij moja córko — rozkazał Hai — i przynieś herbatę i coś do przekąszenia do jadalni. Czuję się bardzo osłabiony i zmęczony. Sporządź mi więc tymczasem befsztyk z jajami, ale przynieś go do mego pokoju, bo ci młodzi ludzie nie potrzebują wiedzieć, że ja jem coś lepszego od nich.

— Przepraszam pana aptekarza — wtrąciła Terenia — ale ja nie mam mięsa w domu, a jatki już pozamykane. Możeby pan zechciał szynkę i jajecznicę?

— Niech i tak będzie, moja córko — odparł Hai — musisz tylko uważać, aby jaja były zupełnie świeże i smażone na świeżym maśle, bo mój żołądek nie znosi starego tłuszczu. Czy pani przygotowała już chleb dla personelu? — dodał przy końcu.

Jest kilka kromek nasmarowanych, ale jest to ledwo połowa tego co idzie zwykle. Może i dla nich zgotować kilka jaj?

— Już bardzo późno — rzekł Hai — a to nie zdrowo jeść dużo na noc. Wreszcie pismo święte nakazuje nawet, aby młodzieży nie przyzwyczajać do zbytków i wybryków, bo to jest grzeszne.

Pan Hai był tego zdania, że personel powinien się tym nasycić, co on je. Toteż zajadał smacznie swoją kolację, nie troszcząc się wcale o to, że ci biedni ludzie po całodziennej pracy nie dostali nawet dość chleba, aby zaspokoić głód.

Pani Hai była złą i niepoczciwą osobą, ale syna swego kochała i słabość jego bardzo ją dotknęła. Nie mogła nic do ust wziąć; siedziała smutna i przygnębiona przy łożu swego ulubieńca i postanowiła nawet czuwać przy nim w nocy, mimo, że on sobie tego wcale nie życzył.

W ciągu nocy pokazało się dopiero, że troskliwość pani Hai była zupełnie na miejscu, gdyż chory dostał silnej gorączki i zaczął majaczyć.

Zdawało mu się, że jest w Paryżu w gronie swych kolegów i głośno mówił z nimi po francusku, później zaczął śpiewać jakąś rozpustną francuską piosenkę, ale w środku urwał i jęknął boleśnie.

Pani Hai była zawsze zdrową, a małżonek jej także nigdy nie chorował. To też nie miała ona wprawy w pielęgnowaniu chorych i nie umiała sobie dać rady ze swoim jedynakiem, którego gorączka ciągle się wzmagała. Nie zrozumiała też tego, co on po francusku mówił.

Teraz dopiero zaczęła pani Hai żałować, że okrucieństwem swym wykurzyła z domu Idę. Jakby ona jej się teraz zdać mogła przy swej pracowitości i zręczności! Umiała też po francusku i mogłaby była teraz przetłumaczyć jej to, co Teobald mówi.

Była to okropnie przykra sytuacja dla stroskanej matki, gdy Teobal znów zaczął jęczeć i błagalnym głosem powtarzać po francusku jedne i te same słowa. Ile by za to była dała, gdyby mogła wiedzieć, czego jedynak jej żąda!



Ciekawy rodzaj zabawy wynalazły studentki wyższej szkoły w stanie Atlanta (U. S. A.) Wśród gradu jaj i deszczu z popiołu nowowstępujące studentki przechodzić muszą specjalną lekcję skoków, jak to widzimy na naszym zdjęciu. Wprawdzie zabawa ta nie znalazła aprobaty u władz szkolnych, jednakże próby tych zabaw są nadal urządzane.

Wreszcie wiedziona macierzyńskim instynktem, który i złym kobietom jest właściwy, złapała szklankę wody i przyłożyła ją do spalonych ust chorego.

— Może spragniony i pić chce — pomyślała i odgadła, bo Teobald wychylił chciwie szklankę aż do dna.

Pani Hai odetchnęła z ulgą, bo zrozumiała, że nastał kryzys choroby.

* * *

Tymczasem Ignacy party tajemniczą siłą zjawił się w zamku Felseg i myślał z natężeniem, po co właściwie tu przyszedł. Wiedział, że coś miał tu uczynić, coś zdziałać, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć co mianowicie.

— Może sobie przypomnę, gdy obejrzę cały zamek, mruknął, bo inaczej nie pójdzie!

Odsunąwszy krzesło, na którym siedział, zaczął powoli przechodzić wszystkie pokoje. Gdy przybył do ostatniego, coś już sobie przypomniał.

— Czekaj — krzyknął, przykładając palec do nosa — to tu było! Tu można było odsuwać jakąś płytę. Tu jestem ja, Ignacy! Czy mi nikt nie może powiedzieć, która płyta to była? No, jak się nikt nie odzywa, to sobie Ignacy sam da radę!

To rzekłszy, ukląkł na podłogę i zaczął poruszać wszystkie po kolei. Wkrótce odnalazł ją i odsunął znanym sposobem.

— Tak jest, Ignacy! — krzyknął zadowolony.

Hrabia Werner dopiero przed chwilą zasnął, to też donośny głos Cygana od razu go zbudził. Zerwał się przestraszony i krzyknął:

— Kto tam?

— To ja, Ignacy! — zawołał Cygan, schylając swą opaloną twarz do otworu.

— Ignacy! — rzekł hrabia Werner uradowany i zdziwiony. — Mój dobry, kochany Ignacy! Ukazujesz mi się jak anioł z nieba zesłany! Prawda, że dziś mnie już uratujesz? Dziś już na pewno wyjmiesz drabinę z szafy i wsuniesz ją do podziemia? Prawda?

— Może, a może i nie — mruknął Ignacy. — Raz już chciałem pana uwolnić, panie hrabio, i bardzo źle sam na tym wyszedłem. Ale opowiem panu coś ciekawego! Panna Sylwia, która znikła przed jakimś czasem, wróciła znów do swej matki.

Mieszkają obie w Petershagen w dwóch małych izdebkach, a leśniczy siedzi w areszcie. Byłem wczoraj w Petershagen u pani Kudlich, bo mam z nią interesa. To jest wprawdzie sekret, ale pan mnie nie zdradzi, panie hrabio! — dodał obłąkaniec, śmiejąc się głupkowato.

— Kochany, dobry Ignacy! — rzekł hrabia Werner błagalnie — idź do Sylwii i powiedz jej, że ja tu ginę w więzieniu! Zlituj się nade mną!

— Czyż ja wiem, czy ona tymczasem nie odjechała już do Ameryki? — odparł Cygan.

— Ależ, mój dobry Ignacy, poccóżby Sylwia miała jechać do Ameryki? To jest niemożliwe — perswadował mu hrabia.

— A przecież tak jest — upierał się Ignacy. — Ja sam także się dziwiłem i pani Kudlich także się dziwiła, ale przecież tak jest! Musi tam być bardzo ładnie w Ameryce, kiedy wszyscy tam jadą! Ciekawy jestem, czy Meyer wyjedzie panience naprzeciw? — zapytał po chwili.

— Czy Meyer też wyjechał do Ameryki? — spytał hrabia zirytowany.

— Tak jest! — odparł Cygan — zabrał on ze sobą okropnie dużo pieniędzy, które dostał od nieboszczyka pana hrabiego. Siedziałem na drzewie i sam widziałem ile pieniędzy nieboszczyk pan hrabia temu rudemu Meyerowi dał.

— Czy Meyer pomagał wtrącić mnie do tego więzienia? — pytał więzień ciekawie.

— Nie wiem — odparł Ignacy — ale gdy wrócił z Felseg, dostał te pieniądze od pana hrabiego.

— Nie ma wątpliwości — krzyknął hrabia Werner — Meyer pomógł kasztelanowi przetransportować mnie tutaj, a w nagrodę za to dał mu mój dziadek pieniądze na wyjazd.

— Alojzy to wszystko dobrze wie — odpowiedział Ignacy i dodał całkiem rozumnie:

Gdyby Ilona teraz tutaj była, to byłbym myślał, że to ona ogień podłożyła, ale ona już pewno dawno we Francji.

— Mylisz się — zawołał Werner — ona jest tutaj.

— Jak to być może, kiedy ona wyjechała do Francji razem ze mną, z Rachelą, Wolfem i Benarim — odparł Ignacy zdziwiony — ja uciekłem z drogi, bo oni się ze mną źle obchodzili!

— Jeżeli ty uciekłeś, to i Ilona uciec mogła — odpowiedział hrabia — faktem jest, że ona jest teraz tutaj!

— Ilona jest zła, niedobra dziewczyna! — mruknął Ignacy — nie chciałbym się znów w jej ręce dostać. Jak ona jest tutaj, to ja stąd się wybieram!

— Nie opuszczaj mnie Ignacy! — błagał go hrabia — zlituj się nade mną i spuść mi drabinę do mego więzienia!

W tej chwili zerwał się wiatr, który szalał wokoło wolno stojącego zamku i wpędził kilka dachówek do komina. Spadały one tam z takim stukiem i hukiem, że Ignacy skoczył przestraszony i wybiegł z pokoju jak strzała.

Zatrzymał się w izbie kasztelana, rzucił się na jego łóżko, pociągnął koc aż na głowę i zaczął się gorąco modlić. Wreszcie uspokoił się. Miękkie i ciepłe łóżko sprawiało mu wielką rozkosz. Wyciągnął się na nim wygodnie i mruknął:

Nie zawsze Ignacemu tak jest dobrze! Dziś zabawi się Ignacy w wielkiego pana i wypocznie sobie na miękkiej pierzynie!

Zapomniał zupełnie, że zostawił płytę niezamkniętą i że tam w podziemiu znajduje się jakiś więzień. Leżąc i wygrzewając się, prowadził dalej swoje monologi dopóki sen go nie zmorzył.

Gdy się po kilku godzinach obudził, pokrzepił się znowu jadłem i napojem, potem wzniecił ogień i zaczął się przy nim wygrzewać.

— Od kiedy jestem chory — mruknął Cygan — to ciągle marznę. Nie mogę też długo na jednym miejscu wytrzymać. Chciałbym pójść do wsi i dowiedzieć się o Ilonę. Jeśli jest tu naprawdę — bo zdaje mi się, że mi ktoś to mówił, że ona w te strony wróciła, to najchętniej wróciłbym znowu do Janka. Janek nigdy mnie nie bił, i byłby mnie z pewnością chronił przed jastrzębiem i byłby go zastrzelił swoją flintą. Ale, jakto właściwie było? Zdaje mi się, że Jan opuścił swój szałas! Jak to źle, że ja tak nic nie pamiętam i że mi się myśli nie kleją. A ta głowa, jak ona mnie boli!!

Oparłszy głowę o obie ręce, zamyślił się.

— Jesteś biednym chłopcem Ignacy — rzekł, litując się i biadając nad sobą. — Czy mam tu zostać, czy pójść? — medytował — na dworze wiatr i śnieg i pluta! Wolę zostać pod ciepłym dachem!

Później wyjął złotówki, które dostał od markiza de Lorme i pieścił się ich widokiem i blaskiem.

— Ignacy nie jest biedny — rzekł dumnie, zacierając ręce z radości. — Ignacy jest bogaty, ale nikomu nic z tego nie da — wszystko dla siebie zatrzyma!

Myśl ta wprawiła go w dobry humor. Zaczął się na głos śmiać i w ręce klaskać, potem schował znów złotówki do kieszeni.

Zrobiło mu się nudno w pustym zamku.

— Smutno człowiekowi samemu na świecie — zaśpiewał i opuścił zamek.

Z przebiegłością właściwą obłąkanym, zamknął znów drzwi i schował klucz do zwykłego schowka.

Udał się wprost do opuszczonej chaty cygańskiej, poznał po niej jednak zaraz, że przez dłuższy czas nie była zamieszkana.

Dach był zerwany przez wiatr, a przez duże szpary wpadał śnieg do wnętrza. Piec bardzo zimny i nie było obok niego ani kawałka drzewa.

— Tu jej nie ma — mruknął Ignacy — bo byłaby tu chyba na śmierć zamarzła. Jakbym tu chciał mieszkać, musiałbym najpierw chatę oporządzić.

Nie zwlekając, zaczął zatykać gałęziami sosnowymi dziury w podwale.

— To tak tylko tymczasem — pocieszał się — jutro lepiej to zrobię!

Potem przyniósł sporo chróstu, nałożył pod kuchnię i podpalił. Zrobiwszy to, usiadł i zaczął ogrzewać zmarznięte i zdrętwiałe ręce.

— Tak nudno samemu — poskarżył się wreszcie — pójdę trochę do karczmy!

Wstał i poszedł do gospody.

— Ignacy! — krzyknęła szynkarka zdziwiona, gdy zobaczyła Cygana.

— Pewno, że Ignacy — odpowiedział Cygan wesoło — jak się macie pani gospodyni! Dawajcie prędko, co macie najlepszego!

— A czy masz pieniądze? — spytała gospodyni ostrożnie.

— Jak plewy, pani gospodyni! — chwalił się Ignacy. — Mam tyle, że nie wiem, gdzie je podziać. Samo piękne, błyszczące złoto!

— Nie wierzę ci, mój drogi — rzekła gospodyni — najpierw pokaż pieniądze, a później dostaniesz wino!

— Oto są! — zawołał Ignacy wesoło i wyciągnął z kieszeni złotówki, które dostał od markiza de Lorme, może nieładne, może nieprawdziwe?

Wszyscy obecni w karczmie przypatrywali się tej scenie.

Jeden z nich, jakiś obdarty druciarz, który siedział przy stole z jakąś dziewczyną, równie jak on zaniedbaną, wstał i gapił się z zajęciem na złotówki Ignacego.

— Skąd u Cygana tyle pieniędzy? — rzekł wreszcie — czy nie są one gdzie skradzione?

— Ignacy nie kradnie — odpowiedział Cygan, z uśmiechem — Ignacy jest poczciwy i zarobił sobie te pieniądze u jednego wielkiego i bogatego pana, którego odnalazł pół zamarzniętego w śniegu i któremu uratował życie.

— Miałeś szczęście! — rzekła gospodyni i wyszła po wino dla Ignacego.

Tymczasem przystąpiła do niego ta dziewczyna, która była w towarzystwie druciarza i oglądnąwszy z bliska chusteczkę, którą Ignacy miał na szyi, zapytała:

— Skąd masz taką piękną jedwabną chusteczkę? Ja taką już od dawna szukam i nie mogę dostać!

— O, o to nie trudno! — odpowiedział Cygan — idź do Petershagen, tam dostaniesz w sklepie Lichtblaua tyle pięknych chustek, ile twe serce zapragnie!

Chłopi, którzy się tej rozmowie przysłuchiwali, śmiali się na głos.

— A toś ją potraktował Ignacy — rzekł jeden z nich — ona myślała, że ty zaraz zdejmiesz chustkę z szyi i podarujesz jej.

— O, zaczynam! — zaśmiał się Ignacy.

— Nie bądźże taki niedobry — pochlebiała mu dziewczyna — taki bogaty facet jak ty, może biednej dziewczynie podarować taką małą chusteczkę!

— Nie, nie dam! — odparł Ignacy, odsuwając jej rękę, a potem popatrzył na jej podbite oko i zapytał:

— Kto cię tak niemiłosiernie zbił?

— Upadłam po ciemku i tak się potłukłam — kłamała Tryna, a później dodała:

— Nie bądźże taki ciekawski i odpowiedz mi także na jedno pytanie — czy masz już jaką narzeczoną?

— A na co by mi się to zdało? — zaśmiał się Cygan.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułcz. Witold Mataczyński — Łysinin

	niesz	ra	wo	sło
skąd	łaś	Wi	nim	co
zgi	sta	tej	mo	dy
ra	niesz	nów	tak	w
sło	rzu	tnie	na	ja
pły	zbie	Wi	mo	smu

Ruchem konika szachowego odczytać sentencję konikówki.

SZARADA

Pierwsza, gdy jest ładna — to zachwyca,
Druga wstecz — też piękny tan
I tak pierwszej zawsze się zaleca,
Bo taki przepis jest mu dan.
Całość w wojnie zawsze się używa
Lub też z niego ładny ubiór bywa.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 17 listopada br.

Rozwiązanie zadań z numeru 44 „Moich Powieści": Logogryf: Święto umarłych. Domyślanka: „Kobieta nie wtenczas szczęśliwa, kiedy ją kochają, ale wtedy, kiedy ona kocha".

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Bultrowicz Wacław — Gniezno, Malicka Henryka — Poznań, Lenart Tadeusz — Rakowice, Zawadzki Bronisław — Katowice, Kiełpiński Ludwik — Bydgcszcz, Kujawa Teodor — Janów.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Malickiej z Poznania i Zawadzkiemu z Katowic.

ADAM CZEKALSKI

7)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

Sanitariusz przyklęknął nad zemdlonym oficerem i wyjąwszy z podręcznej apteczki jakieś leki, zaczął próbować ich skuteczności. Jakoż okazały się one snać bardzo skuteczne, bo po chwili Stadnicki otworzył oczy, odetchnął głębiej i rozejrzał się niepewnie dokoła.

— Stachu... — wyszeptał.

— Jurek, wariacie! — mruknął Olśnicki. — A nie mówiłem ci! Kto widział, mając urlop i będąc chorym, przychodzić po nocy do pracy.

— Ja... musiałem, Stachu, musiałem...

— Idź do licha ze swoim musem, wariacie jeden! — obruszył się kapitan.

— Musiałem, Stachu, wierz mi... musiałem... Ty nie wiesz, ty nic nie wiesz, co ze mną się działo... Ale — powiedz pułkownikowi, że szkice Kosibowicza... muszą być bardzo pilnie strzeżone... bardzo...

— Et, przestań bredzić. Masz gorączkę i zwidują ci się fantasmagorie.

Stadnicki spojrzał na przyjaciela wzrokiem dziwnym, jak gdyby niespokojnym i wylęknionym, chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Olśnicki nie dał mu przyjść do słowa.

— Leż spokojnie — rzekł. — Zaraz podjedzie taksówka, do której cię zapakujemy i chodaj, chłopcze, do chałupy. Już tam pewnie twój Żymełka stęsknił się za tobą.

Stadnicki uśmiechnął się mimo woli na wspomnienie swojego ordynansa, który sprawiał mu nieraz wiele utrapień swoimi ekstrawagancjami, ale bez którego nie potrafił się obyć.

Kiedy dano znać, że sprowadzona telefonicznie taksówka stoi u podjazdu gmachu, Olśnicki kazał podoficerom zabrać porucznika do samochodu, odwieźć go we dwóch do domu, sprowadzić lekarza i rozkazać Żymełce, ażeby porucznika nie odstępował krokiem.

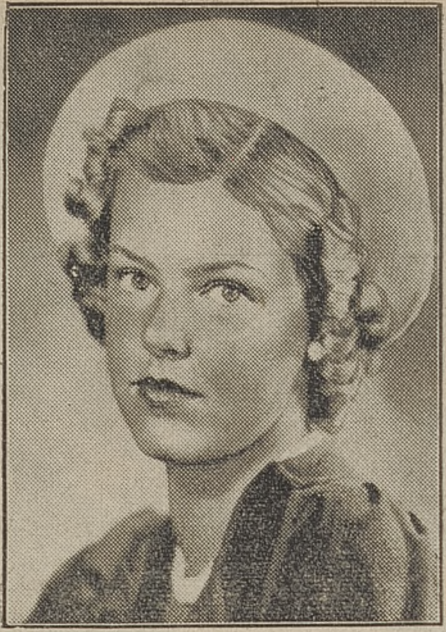
— Czort wie, co to wszystko znaczy — mruknął kapitan, kiedy Stadnicki odjechał do siebie. — Wyjechał zdrowy jak ryba z nadzieją zabawienia się nieco w Łodzi, a wrócił prawie śmiertelnie chory. Trzeba go rozpytać, gdy nieco logicznie będzie mógł myśleć i odpowiadać na pytania — zakończył kapitan i poszedł do swojego pokoju służbowego.

Nazajutrz z rana rozpoczęła się w szefostwie normalna zwykła codzienna praca. Wypadek Stadnickiego, który ogólnie był już znanym, nastręczył mnóstwo komentarzy, ale w gruncie nikt dobrze nie wiedział, co zaszło.

Pułkownik Grodecki, który bardzo lubił swojego porucznika, będącego jego bezpośrednim współpracownikiem, bardzo przejął się wypadkiem Jurka i rozkazał meldować sobie codziennie stan zdrowia chorego.

Około godziny drugiej w południe zjawił się w szefostwie inżynier Kosibowicz w sprawie złożonych do przejrzenia planów.

— Żałuję bardzo, kochany inżynierze — odrzekł na pytanie pułkownik — ale jeszcze nie zdążyliśmy przejrzeć dokładnie pańskich szkiców. Proszę mi wierzyć, że tylko nawał pracy i choroba mojego najlepszego pomocnika, porucznika Stadnickiego, są jedynymi przyczynami takiego opóźnienia.



Tegoroczną miss Europy została wybraną Finlandka Bydström, która zwycięstwo swoje zawdzięcza świeżej, naturalnej cerze.

— Drobnostka, panie pułkowniku — odrzekł na to inżynier — więcej żałuję porucznika Stadnickiego, który jest moim serdecznym druhem jeszcze z ławy szkolnej, niż tej zwłoki w odpowiedzi na moją propozycję. Czy jednak nie zechciałby pan pułkownik pokazać mi szkiców? Chciałbym w pewnym punkcie osobiście wyjaśnić panom rzecz pewną, której nie chciałem umieszczać na papierze.

— Ależ najchętniej — proszę, zechciej pan przejść do gabinetu porucznika, gdzie znajdują się plany.

Pułkownik wziął pod ramię inżyniera i poszedł do sąsiedniego pokoju, który był gabinetem Stadnickiego. Wydobył klucze ze skórzanej pochewki, otworzył drzwi kasy ogniotrwałej i sięgnął ręką, gdzie winny były znajdować się szkice. Rozmawiając z inżynierem, pułkownik macał ręką po skrytce, ale wciąż jakoś nie mógł natrafić na pożądaną kopertę.

— Cóż, u licha! — zaklął pułkownik. — Przecież koperta z pańskimi szkicami zawsze leżała w tej właśnie skrytce. Widać porucznik przełożył ją w inne miejsce.

I po tych słowach pułkownik Grodecki zaczął już uważniej szukać, przerzucając rozmaite zalakowane i otwarte koperty z dokumentami, ale szkiców Kosibowicza nigdzie odnaleźć nie mógł.

— To zaczyna być mniej przyjemnym — szepnął jak gdyby do siebie pułkownik i po raz trzeci, tym razem już bardzo szczegółowo, zaczął przeglądać kolejno papier po papierze w kasie. Po kwadransie takiego szukania opuścił bezwładnie ręce i spojrzał na inżyniera. Pułkownik był blady i czoło pokryte miał gęstymi kroplami potu.

— No, cóż tam, panie pułkowniku?

— Okropność! — wyszeptał prawie pułkownik. — To nie do wiary.

— Co się stało? — zapytał inżynier, przyglądając się pomieszaniu i bladości pułkownika.

— Nic, nic — odrzekł pospiesznie Grodecki. — Kochany inżynierze, wybacz, ale twoje szkice jeszcze przed dwoma dniami odesłane zostały do Generalnego Inspektora i dotąd nie odesłano nam ich jeszcze. Zupełnie o tym zapomniałem.

— Ach, to nic nie szkodzi, panie pułkowniku. Jeżeli szkice wrócą, będę bardzo zobowiązany za powiadomienie mnie o tym.

— Najchętniej, kochany inżynierze, najchętniej...

Kosibowicz zabawił w gabinecie pułkownika jeszcze czas pewien, po czym opuścił szefostwo, a gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Grodecki prawie jednocześnie nacisnął kilka dzwonków elektrycznych naraz. Po chwili czterech oficerów stanęło przy drzwiach w pozycjach służbowych.

Grodecki, wciąż blady i zdający się jeszcze z minuty na minutę blednąć w dalszym ciągu, powstał od biurka i odwrócił się twarzą do przybyłych.

— Panowie — rzekł drżącym, wzruszonym głosem — plany nowego samolotu pościgowego, złożone nam do przejrzenia przez inżyniera Kosibowicza — zniknęły.

— Plany te znajdowały się pod osobistą pieczą porucznika Stadnickiego — odezwał się młodziutki porucznik Wieczorkiewicz.

Pułkownik zmierzył go groźnym wzrokiem, jakby go chciał przeszyć na wylot.

— Wiem! — rzekł krótko. — Ale nie o to tu chodzi, kto czuwa nad tymi planami, ale gdzie one się podziały?

— Najlepiej zapewne będzie o tym mógł powiedzieć sam porucznik Stadnicki — odezwał się jeden z kapitanów.

— Tak... pewnie... — zgodził się Grodecki. — Jedź pan zaraz do szpitala do porucznika Stadnickiego i rozpytaj go o to.

Kapitan skłonił się i odszedł.

— Panowie też możecie odejść — rzucił rozkaz pułkownik, a gdy oficerowie wyszli, padł ciężko na fotel i ścisnął głowę dłońmi. Przymknął oczy i jednocześnie poczuł, że wszystko dokoła wiruje i kręci się. Powstał znowu i próbował przejść się przez pokój, ale nogi uginały się pod nim.

— To straszne! — myślał. — Okropne!...

Usiadł przy biurku i próbował zebrać myśli, wtłoczyć je w jakiś porządek, zmusić do logiki, ale nie udawało mu się to jakoś. Rozpacz nim targała. Dopiero dzwonek telefonu na biurku pobudził w nim energię. Zdecydowanym ruchem podniósł słuchawkę, aby usłyszeć na siebie wyrok.

— Co?... Jak?... To nie może być.

— Niestety, to prawda, panie pułkowniku — dźwięczał w tubie głos meldującego kapitana. — Porucznik Stadnicki oświadczył, że kopertę zostawił na tym samym miejscu, na którym leżała dawniej i nie może wiedzieć, co z nią stać się mogło.

— Dziękuję! — rzucił krótko Grodecki i powiesił słuchawkę.

Teraz był już opanowany i nawet zupełnie trzeźwy. Myśli same układały się w czasze logicznie, przerażająco nawet logicznie i z nieubłaganą konsekwencją biły w niego, niby tarany.

Pułkownik usiadł do biurka i zaczął szybkim, rzutowym pismem zapełniać arkusze papieru. Potem włożył je do kopert, zaadresował i wyciągnął z szufladki rewolwer.

— Bóg mi świadkiem, że nie jestem winien, ale gdyby mnie nawet



Na wystawie sprzętów biurowych w Nowym Jorku oglądać można ciekawe zestawienie maszyn do pisania. List pisany przez stenotypistkę na jednej maszynie odbijany jest równocześnie na dwóch sąsiednich maszynach.

sąd uniewinnił, sumienie moje nie uniewinni mnie z niedopatrzenia — szepnął do siebie i przystawiwszy zimną stal lufy do skroni, pociągnął za spust.

VIII

WŁADZE MAJĄ GŁOS

Stary Mazurkiewicz przejął się bardzo opowiadaniem Krupińskich i postanowił dojść do sedna rzeczy. Nie wierzył on zbytnie w żadne nadzwyczajne cudowności, czy magiczne pociągnięcia, ale upatrywał w całym zdarzeniu rzeczy niezwykłe i dla rozumu dość dziwaczne. Toż zniknięcie śladów biczowania Lili Krupińskiej widział sam na własne oczy. Gdyby mu ktokolwiek był o tym opowiadał, stary lekarz byłby go wydrwił i nigdyby, naturalnie, nie dał temu wiary. Ale przecież wypadek ten widział na własne oczy, które, mimo siódmego krzyżyka, jaki doktór na barkach swoich dźwigał, były jeszcze bystre i ostre.

— Tu dzieją się jakieś diabelskie sztuczki tego jakiegoś tam Borowicza — powtarzał doktor — i te sztuczki musimy zdemaskować.

Z takim postanowieniem poszedł do znajomego sobie komisarza Krajewskiego i opowiedziawszy mu to wszystko, czego sam był świadkiem i co opowiedziały mu panie Krupińskie, zapytał:

— Czy pan komisarz otrzymał przed kilku dniami meldunek od policjanta, który interweniował na krzyk pani Ewy Krupińskiej?

— Nie, panie doktorze, dotąd nic nie wiem o jakimkolwiek meldunku w tej sprawie — odrzekł komisarz — dla wszelkiej pewności jednak zaraz sprawdzę, czy nie znajduje się jaki raport w tej sprawie.

Komisarz zadzwonił, a gdy zjawił się sekretarz komisariatu, zapytał:

— Panie Scibisz, czy pan nie otrzymał w ostatnich dniach jakiego raportu o zajściu w pewnym domu przy ulicy Tadeusza Kościuszki?

— Nie, panie komisarzu, nie było żadnego raportu.

— Niech pan sprawdzi, kto dnia 5 stycznia miał służbę w nocy na tej ulicy i jeśli ten posterunkowy znajduje się gdzieś w pobliżu, proszę przysłać go do mnie.

— Słucham!

Przodownik oddalił się.

— Jak pan sam widzi, doktorze, dotychczas nie wpłynął do nas żaden raport w sprawie, która pana interesuje.

— To dziwne. Wiem dobrze, że ów policjant, wbrew radom pana Borowicza, przyrzekł taki meldunek złożyć, o czym wspomniała mi pani Krupińska.

— Zaraz się dowiemy, dlaczego meldunek ten nie znalazł się u nas.

Wszedł znowu przodownik i zameldował, że krytycznej nocy miał służbę obok wspomnianego domu na ulicy Kościuszki starszy posterunkowy Kulpeć.

— Kulpeć ma wolne dzisiaj po nocnej służbie — objaśnił sekretarz — ale posłałem po niego, więc pewnie zaraz się tu zjawi, bo mieszka opodal komisariatu.

— Dziękuję panu.

— Będę komisarzowi ogromnie zobowiązany — odezwał się po wyjściu przodownika doktor — jeśli zechce pan zainteresować się osobą tego pseudo-lekarza, pana Borowicza. Kiedyś byłem pod drzwiami mieszkania zajmowanego przezeń i widziałem wizytówkę, która daje wiele do myślenia. Przede wszystkim tedy uderza jego imię: John, a dalej uwaga „pacjentów się nie przyjmuje". Jak świadczy imię, jest to człowiek pochodzenia anglosaskiego.

— Ale nazwisko, doktorze!

— Nazwisko ma słowiańskie, bo może ono być tak samo dobrze polskie, jak rosyjskie, słowackie, czeskie itd. A poza tym, czyż mało mamy w Polsce ludzi, dobrych Polaków, którzy noszą nazwiska niemieckie, francuskie, angielskie i tak dalej. Dlatego to równie dobrze taki Borowicz, będąc Anglikiem, może nosić nazwisko słowiańskie.

— Chwileczkę, doktorze — przerwał komisarz i nacisnął taster dzwonka, a gdy wszedł sekretarz, Krajewski spytał:

— Czy niejaki John W. Borowicz jest zameldowany u nas?

— Doktor medycyny, przybył niedawno z Kalkuty? Owszem — zameldowany, panie komisarzu.

— Przynieś pan kartę meldunkową tego pana.

Po chwili karta Borowicza znajdowała się w rękach Krajewskiego. Przyjrzał jej się uważnie, po czym podał ją doktorowi i zauważył:

— Na oko wszystko jest w należytym porządku.

— Na oko — tak — zgodził się Mazurkiewicz, — ale też nie chodzi mi o to, panie komisarzu, co łatwo jest stwierdzić, o rzeczy, że tak powiem — formalne, ale o te ukryte sprawy, które mnie i bliskie mi osoby tak bardzo interesują.

— Rozumiem. Chodzi panu, doktorze, o przyczynę pobytu pana Borowicza? I ta sprawa formalnie jest wyjaśniona: „sprawy handlowe". A ponieważ do Łodzi przybywają agenci i przedstawiciele najprzeróżniejszych firm prawie świata całego, przeto podanie takiego lakonicznego wyjaśnienia jest w zasadzie całkowicie wystarczającym.

— Zasadniczo — zgoda, ale wszystko to nie przekonywa mnie, panie komisarzu. Ja tu upatruję zgoła inną przyczynę pobytu Borowicza w naszym mieście i pobyt ten, moim zdaniem, ma bardzo ścisły związek z tym, co działo się z panną Alicją Krupińską.

— Zaraz zobaczymy, bo słyszę głos str. posterunkowego Kulpecia.

Rozległo się dyskretne pukanie i na głos komisarza „wejść", na progu stanął policjant Kulpeć, meldując swoje stawienie się na rozkaz.

— Panie Kulpeć — odezwał się komisarz — czy pan miał służbę na ulicy Kościuszki w nocy z dnia 5 na 6 stycznia?

— Tak jest, panie komisarzu!

— Był pan alarmowany wezwaniem kobiety z pierwszego piętra, która żądała pomocy?

— Tak jest, panie komisarzu!

— I cóż było dalej?

— Kiedy usłyszałem krzyk kobiety, oznajmiłem się następnemu posterunkowi gwizdkiem i pobiegłem w stronę, gdzie, według mnie, krzyczano. Po drodze spotkałem jakiegoś pana, który przedstawił mi się za doktora Borowicza i zaofiarował swoje usługi w przewidywaniu, iż pomoc lekarska może się przydać. Zgodziłem się na to i poszliśmy dalej. Odnalazłszy dom, kazałem dozorcy otworzyć i wpuścić nas na pierwsze piętro. Gdyśmy się tam znaleźli, okazało się, że krzyczano z domu pani Ewy Krupińskiej. Zastaliśmy tam córkę pani Krupińskiej, leżącą na łóżku. Była bardzo osłabiona. Na szyi spostrzegłem odcisk palców, jakby od duszenia. A podczas, gdy ja informowałem się u matki o zajściu, doktór Borowicz badał chorą. Gdy następnie podszedłem na wezwanie doktora do łóżka, ze zdumieniem stwierdziłem brak jakichkolwiek śladów.

— Brak śladów, powiadasz pan? — zastanowił się komisarz.

— Tak jest, panie komisarzu! Ślady zniknęły jakby ręką odjął.

— To ciekawe.

— Ja sam byłem ogromnie zdumiony metodą leczenia doktora Borowicza.



Te czołgi — jakie to przykre „memento“ wojny, rozgrywającej się na dalekim Wschodzie.

— No i, cóż dalej?

— Po załatwieniu sprawy, oznajmiłem Krupińskiemu, że o całym zajściu złożę raport moim władzom, na co doktór Borowicz odrzekł, że to zupełnie niepotrzebne, bo choroba panny Krupińskiej, to zwykłe objawy histerii.

— I pan, naturalnie, poprzestałeś na tym tłumaczeniu?

— Nie, powiedziałem, że choroba i całe zajście może sobie być najniewinniejszą igraszką, ale moim obowiązkiem jest złożyć raport.

— I nie złożyłeś go pan?

— Przeciwnie, panie komisarzu — obruszył się policjant — raport złożyłem natychmiast po powrocie ze służby.

— Nie opowiadaj pan byle czego, bo raportu w ogóle nie ma.

— Ależ panie komisarzu...

— Czekaj pan.

Krajewski zadzwonił i kazał sobie podać książkę raportów, nad którą pochylił się zaraz i bardzo uważnie zaczął ją przeglądać. Pod datą 6 stycznia widniały trzy tylko raporty, z których jeden zastanowił komisarza.

— Kto to pisał? — zapytał Krajewski stojącego obok przodownika.

— To... to... doprawdy, panie komisarzu, nie poznaję tego charakteru. A przecież znam charaktery pisma prawie wszystkich naszych posterunkowych.

— Rzeczywiście — mruknął komisarz w zamyśleniu — to jakiś niezwyczajny charakter i... chodzi o zakłócenie spokoju, spowodowane właśnie przez panią Ewę Krupińską.

— Panie Kulpeć!

— Słucham pana komisarza.

— Pan składałeś raport o zakłóceniu spokoju przez panią Krupińską?

— Nic podobnego! Meldowałem dokładnie o całym zajściu i donosiłem, że napaści na pannę Alicję Krupińską dokonał jakiś nieznany zbrodniarz, który usiłował ją udusić. Nadto dodałem, że według przeprowadzonego na miejscu dochodzenia, panna Krupińska, chociaż doznała uczucia duszenia, nikogo jednak ani przy sobie, ani w pokoju, w którym przebywała — nie spostrzegła.

— A jednak notatka w raporcie powiada zgoła co innego. Czemże to pan wytłumaczy? Jakże to stać się mogło?

— To pewnie pomyłka, gdyż ja nie składałem podobnego raportu.

Doktor słuchał wszystkiego uważnie, nie wtrącając się ani jednym słowem do rozmowy Krajewskiego z podwładnymi. Gdy jednak ci odeszli i został znowu sam na sam z komisarzem, rzekł:

— I cóż pan o tym wszystkim myśli, komisarzu?

— Sprawa rzeczywiście zaczyna być coraz bardziej ciekawa. Tutaj dzieje się coś takiego, czego w mojej praktyce nigdy jeszcze nie miałem. Bo zważmy tylko: jakiś niewidzialny zbrodniarz maltretuje Alicję Krupińską, znęca się nad nią, pozostawia nawet ślady swojego złoczynu na ciele ofiary, potem zjawia się, niby przypadkowo niepraktykujący i przejazdem tylko bawiący w naszym mieście, nikomu nieznany doktor Borowicz i uzdrawia ofiarę przy pomocy jednego tylko dotyku swych rąk. Historia jakby żywcem wyjęta z fantastycznego romansu Wels'a. I przypuśćmy, że moje hipotezy o niewidzialnym zbrodniarzu są prawdziwe. Cóż dalej? Należy doszukać się celu zbrodniczej działalności. Jakimże może tu być ów cel? Dlaczego zbrodniarz prześladuje właśnie Alicję Krupińską, a nie jakąkolwiek inną piękną kobietę, z których Łódź nasza słynie?

— Otóż to, otóż to — podchwycił doktor.

— Ciekawy, bardzo ciekawy wypadek, doktorze.

— Mam nadzieję, że pan się nim zajmie, komisarzu, że każe pan zbadać wszystko dokładnie, poczynając od pisma w księdze raportów policyjnych, pisma, które nie zostało położone ręką żadnego ze znanych panu swoich podwładnych.

— Tak jest. Proszę mi wierzyć, doktorze, że jak jeszcze niedawno nie miałem zbytniego przekonania do tej sprawy, teraz zajmę się nią tym gorliwiej.

— A gdybym ja mógł panu służyć czymkolwiek — jestem na usługi.

— Z góry dziękuję.

Doktor powstał i uściskał mocną, męską dłoń komisarza. Już był w drzwiach, gdy naraz odezwał się dzwonek telefonu. Doktor przystanął, czekając na ukończenie rozmowy Krajewskiego z kimś po drugiej stronie drutu telefonicznego.

— Co? Borowicz?... Tak, tak... Dobrze. Czekam. Do widzenia.

— Doktorze! — zawołał Krajewski, odkładając słuchawkę — jest nowy przyczynek do sprawy, którą co tylko omawialiśmy.

— No, no?

— Nakaz zbadania wszystkiego co dotyczy John'a W. Borowicza i jego stosunków z porucznikiem Stadnickim, który notabene, został aresztowany w związku z wykradzeniem jakichś tam szkiców i planów. Ale ten szczegół zechce pan zachować tylko dla siebie.

— Może pan całkowicie polegać na mojej dyskrecji, komisarzu.

— No, to do widzenia, doktorze kochany, bo muszę zaraz zabrać się do roboty.

— Cieszę się, że zainteresował się pan tą sprawą i tuszę sobie, iż zostanie ona należycie rozwiązana.

— Zobaczymy, zobaczymy... Nie przesądzajmy przed czasem niczego.

IX.

OFICJALNA WIZYTA

Panie Krupińskie przeczekały do godziny trzeciej, daremnie wyglądając upragnionego gościa. Porucznik nie zjawiał się.

— Zaczynam być niespokojna o niego — odezwała się Lila. — Czy tam czasem nie zaszło co złego?

Matka nie odrzekła na to nic, ale zadzwoniła na pokojową i kazała podać obiad.

— Musimy zjeść obiad — rzekła — a jeśli Jurek przyjdzie, za karę sam go będzie musiał zjeść.

Podano jedzenie i obie panie, jedząc, milczały.

W takim przykrym nastroju nadeszła godzina piąta, potem szósta, siódma, a porucznika jak nie było, tak nie było. Lila coraz więcej się denerwowała.

— Tam na pewno musiało zajść coś złego, inaczej Jurek nie omieszkałby był zjawić się na obiad. Znam go dobrze i znam jego słabą stronę — punktualność.

— Ale dlaczego zaraz przewidujesz najgorsze? — odrzekła na to matka nieco podenerwowanym tonem.

Lila wstała raptownie i zaczęła przemierzać pokój szybkimi krokami. Po chwili zatrzymała się nagle przed matką i rzekła:

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



Niedziela, dnia 14 listopada 1937 r.

8.00 Audycja poranna; 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie; 12.00 Poranek muzyczny w wyk. orkiestry symfonicznej m. Po..ania; 13.10 Rachunek sumienia i Przylądek Dobrej Nadziei — fragment z książki; 13.30 Muzyka obiadowa; 14.45 Audycja dla wsi; 15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci; 16.05 Robert Schumann: Sceny leśne op. 82; 16.45 Anielcia i życie — powieść mówiona; 17.00 Koncert dla dzieci i młodzieży ze studia na wystawie radiowej w Bydgoszczy; 18.40 Słuchowisko „Zioła i kamienie"; 19.35 Słynni wirtuozi (V audycja); 21.15 Hanusia z Pohulanki — sielanka; 22.00 Opowieść o Mozarcie — III audycja.

Poniedziałek, dnia 15 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Od warsztatu do warsztatu: Stan rzemiosła szklarskiego; 15.445 Z pieśnią po kraju; 16.15 Orkiestra rozrywkowa; 17.00 Twórca narkozy — James Simpson — odczyt; 17.15 Koncert kameralny w wyk. kwartetu warszawskiego; 18.10 Mniej znani pieśniarze; 18.35 Audycja dla wsi; 19.00 Audycja żołnierska; 19.30 Dyskutujmy: Różnice psychiczne między kobieta a mężczyzną; 20.21 Koncert rozrywkowy (ze Lwowa); 22.00 Koncert symfoniczny w wyk. orkiestry P. R. pod dyr. Ladisława Grinsky'ego.

Wtorek, dnia 16 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Pieśni (płyty); 11.45 Bajka o dziewczynie i paniczu, zaklętym w niedźwiedzia; 16.15 Recital wiolonczelowy Dezyderiusza Danczowskiego; 17.00 Motocyklem przez Atlantyk — felieton; 17.15 Historia tańca — I audycja; 17.50 pogadanka; 18.30 Przy stoliku literackim - wieczór literacki; 19.30 Pieśni Polesia 20.00 Muzyka taneczna; 21.00 Sylwetki kompozytorów (27 audycja); 22.00 Muzyka lekka w wykonaniu Orkiestry Wileńskiej.

Środa, dnia 17 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Saksofon i klarnet (płyty); 15.45 Hokus pokus dominikus „Czy stalówka ma nogi?" audycja dla dzieci; 16.15 Koncert solistów (ze Lwowa); 17.00 Wojskowa potęga lotnicza Italii — odczyt; 17.15 Koncert orkiestry straży więziennej; 17.50 Kłopoty lokatora — pogadanka; 18.10 Orkiestra Pawła Withmana (płyty); 19.00 W dwunastą rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego (recytacja prozy); 19.20 Pieśni lubelskie; 19.35 Śladami myśli prof. Twardowskiego „Prof. Twardowski i jego uczniowie"; 20.00 Zapomniane piosenki (płyty); 21.00 Koncert chopinowski; 21.50 piękno mowy polskiej (kwadrans poezji); 22.00 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego. 22.15 Muzyka angielska.

Czwartek, dnia 18 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.45 Wielcy muzycy dzieciom — poranek muzyczny dla szkół powszechnych z Wilna; 11.40 Edward Grieg, ballada op. 24 (płyty); 15.45 Wędrówki muzyczne — audycje dla młodzieży; 16.15 Orkiestra mandolinistów „Kaskada"; 16.55 O książce Chałasińskiego „Szkoła w społeczeństwie amerykańskim" — odczyt;17.10 Fr. Szubert: Piękna młynarka, cykl pieśni (1 audycja); 18.35 Audycje dla młodzieży wiejskiej „Nasza wieś w poezji"; 19.00 Słuchowisko „Pierwsza miłość poety"; 19.30 Recital; 20.00 Koncert rozrywkowy z Wiednia; 21.45 Stanisław Przybyszewski — szkic literacki dr. Tadeusza Żeleńskiego Boya; 22.00 I audycja poświęcona twórczości Karola Szymanowskiego.

Piątek, dnia 19 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Holst: Planety — fragmenty ze suity (płyty); 15.45 Mój kasztan — opowiadanie dla dzieci; 16.15 Koncert muzyki lekkiej; 17.15 Franciszek Szubert: Piękna młynarka — II audycja; 18.10 Od sola do sekstetu instrumentalnego (płyty); 18.35 Audycja dla wsi; 19.00 Komedia Aleksandra Fredry — wieczór — Śluby panieńskie; 20.05 „Czterech gburów" opera Ernano Wolff Ferrariego.

Sobota, dnia 20 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Efrem Zimbalist — skrzypce (płyty); 15.45 Słuchowisko dla dzieci p. tyt. Po księżycowym promyku; 16.15 Melodie i tańce śląskie w wyk. orkiestry K. P. W. z Katowic; 17.00 Artur Grottger — opowieść biograficzna; 17.15 Koncert na dwa fortepiany z Krakowa; 18.15 Piosenki w wyk. Imperio Argentiny (płyty) 18.55 Audycja dla wsi; 19.00 Audycja dla Polaków za granicą; 20.00 Polska kapela ludowa pod dyr. Feliksa Dzierżanowskiego; 21.00 Koncert solistów; 21.45 „Próba ataku gazowego" — skecz, 22.00 Melodia Krakowa.



PREZENT

— Ofiarowałam Łamańskim na wesele ich córki serwis kawowy na 12 osób. A pani, co dała Pędzikiewiczom?

— Sitko do herbaty na 24 osoby.

NA GIEŁDZIE

— Pragnąłbym mieć pieniądze Rotszylda i pańską twarz?

— Czy jestem taki piękny?

— Co to, to nie. Ale gdybym miał majątek Rotszylda, to nie wstydziłbym się pokazywać na ulicy nawet z pańską twarzą.

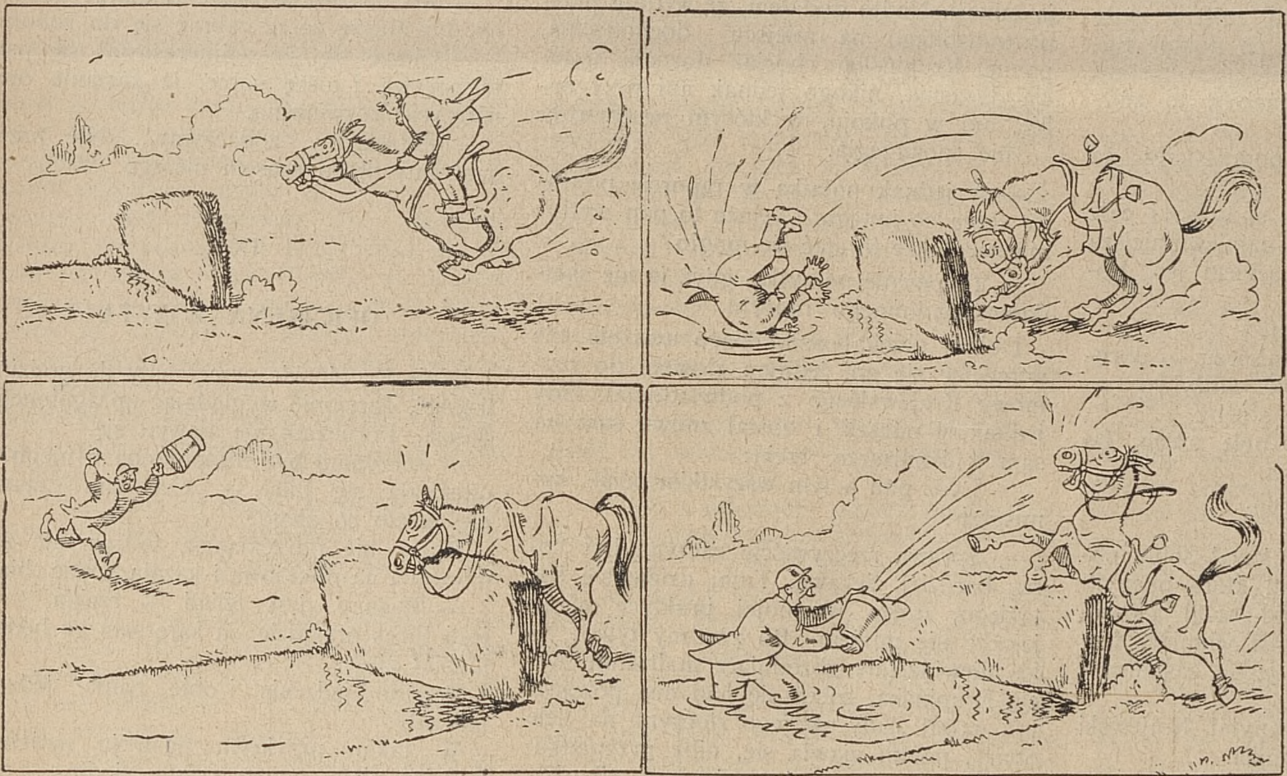
W AMERYCE

Słynny detektyw amerykański na proszonym obiedzie:

— Jak widzę zmieniliście służącą.

— ???

— Te odciski palców na talerzach nie są mi jeszcze znane.



Pięknym za nadobne!...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granica miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie